

POEZJA
PROZA
ESLJE
KRONIKA

ZAPIS

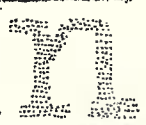
Nr 4 październik
1977

ZESZYTY II

numer
przygotowali

JERZY	ANDRZEJEWSKI
STANISŁAW	BARANCZAK
KOZIMIERZ	BRANDYS
ANDRZEJ	BRANICZ
ADAM	MICHNIK
MAREK	BOHAKOWSKI
KOZIMIERZ	OBŁOŚ
BARBARA	TORUŃCZYK
MIKŁOJ	WOROSZYLSKI
ADAM	ZAGAJEWSKI

NIEZALEŻNA
OFICyna
WYDAWNICZA



BAUDOUIN DE COURTENAY O
TŁUMICIELACH MYŚLI
LUDZKIEJ

Przepisujemy fragment artykułu jana Baudouina de Courtenay /1845-1929/, znakomitego językoznawcy polskiego, który przez wiele lat wykładał również na katedrach rosyjskich. Artykuł, zatytułowany "Kaprysy tłumicieli myśli ludzkiej", ukazał się w piśmie "Krytyka" przed bez mała siedemdziesięciu pięciu laty /1903, s. 369-374/.

"Nie możemy mieć najmniejszej pretensji ani do cenzora, ani do jego opiekunów. Trudno przecież być rozumniejszym, aniżeli się jest w rzeczywistości. Ale wskazywać na /.../ kaprysy i wybryki cenzury/ jest obowiązkiem każdego "obywatela" i "własnego poddanego" jakiegokolwiek bądź państwa. Tem stwierdzeniem usuwam z góry wszelkie objawy zdziwienia, że ja, w swoim położeniu, pozwalam sobie tak zuchwale odzywać się o wszechwładnej cenzurze.

Czynię to właśnie jako człowiek, pragnący spokojnego rozwoju i nie życzący sobie wcale rządnych przewrotów. Cenzorów zaś, prześladujących bezmyślnie i kapryśnie ludzi całkiem prawomyślnych i wyrażenia najniewinniejszo, uważam za zdocydowanych, chociaż może i bezwiednych, agents provocateurs i "przewrotowców". Nie tak silnie nie wstrząsa podwalinami ustroju państwowego, jak wytrwale praktykowanie bezprawia i zaciąganie prześladowania myśli jasnej i spokojnej: /.../ Oddawać /.../ ludzi rozumnych i przekonanych na postawę niucom i pacholkom, pozbawionym wszelkiej myśli krytycznej i wszelkich zasad etycznych, jest to wywoływać coraz potężniejsze niezadowolenie, jest to osłabiać się i - nawet we własnych niezaślepionych oczach - usprawiedliwiać przeciwdziałanie i czyny niepożądane.

Ukrócić samowolę cenzury jest to jeden z najniezbędniejszych warunków podtrzymywania istniejącego ustroju państwowego i społecznego".

Petersburg, w marcu 1903

Kazimierz Orłowski

O WOLNOŚCI SŁOWA I O CENZURZE W PAKTÓW PRAW CZŁOWIEKA

Wolność słowa, pojmowana jako prawo do swobodnej publicznej wypowiedzi w każdej formie, jest jednym z praw człowieka. O prawach tych, - takich jak m.in. wolność posiadania własnych przekonań politycznych, własnej religii, własnego życia prywatnego, prawie do swobodnego podróżowania, prawach do zrzeszania się, udziału w życiu publicznym i kulturalnym swego kraju - Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela oraz późniejsze akty prawa międzynarodowego uchwalone przez kraje należące do Organizacji Narodów Zjednoczonych, a także Akty Kandydowskiej Konferencji w Helsinkach, mówią, że "wynikają z przyrodzonej godności ludzkiej osoby i mają podstawowe znaczenie dla jej swobodnego i pełnego rozwoju." Ważne jest to rozróżnianie praw człowieka od praw stanowiących prawo państwa. Można by powiedzieć, że państwa - organizacje nie mają prawa naruszania tych praw, jak i nie mogą praw tych dawać czy zabierać. Prawa te, związane z godnością istoty ludzkiej, przysługują jej nie jako od urodzenia. Z samego faktu bycia człowiekiem - Homo sapiens, istotą myślącą. Takie rozumienie praw człowieka, a wśród nich i wolności słowa, formalnie akceptują wszystkie państwa członkowskie ONZ, które na III sesji Zgromadzenia Ogólnego Organizacji, 10 grudnia 1948 roku, uchwaliły Deklarację Praw Człowieka i Obywatela. Wśród tych państw była i pozostaje Polska Rzeczpospolita Ludowa. Warto zatem pamiętać, że w świetle uznawanej przez nasze państwo zasady wolność słowa nie może być nam dana w prezencję lub za karę odebrana. Nie powinna być dawkowana ani ograniczana. Wolność słowa jest prawem człowieka.

Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej potwierdza powszechną zasadę. W Artykule 83 ustawy zasadniczej czytamy: "Polska Rzeczypospolita Ludowa zapewnia obywatelom wolność słowa, druku, zgromadzeń i wieców, pochodów i manifestacji." Ustęp drugi tego Artykułu mówi, że: "urzeczywistnieniu tej wolności służy oddanie do użytku ludu pracującego i jego organizacji drukarni, zasobów papieru, gmachów publicznych i sal, środków

łączości, radia oraz innych niezbędnych środków materialnych." 1/

O wolności słowa mówią także akty prawne o charakterze międzynarodowym, których Polska jest sygnatariuszem. Wspomniana Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela zawiera następujące postanowienia w Artykule 19: "Każdy człowiek ma prawo wolności opinii i wyrażania jej; prawo to obejmuje swobodę posiadania niezależnej opinii, poszukiwania, strzymania i rozpowszechniania informacji i poglądów wszelkimi środkami, bez względu na granice."

Po upływie ćwierćwiecza, 1 sierpnia 1975 roku w Helsinkach, w trakcie Księżcowym Konferencji, podpisano m.in. następujące zobowiązania: "Państwa uczestniczące będą szanować prawa człowieka i państwowe wolności, włączając w to wolność myśli, sumienia, religii lub przekonań każdego bez względu na rasię, kolor skóry, płeć, język lub religię." "Będą one również nie w swych wzajemnych stosunkach szanować te prawa i wolności i będą podejmować wysiłki, wspólnie i indywidualnie, włączając w to współpracę z Organizacją Narodów Zjednoczonych w celu podjęcia ich powszechnego i efektywnego poszerzenia." 2/

"Życie Warszawy" z 4 marca br. /Nr 53/ ukazała się wiadomość o ratyfikowaniu przez Radę Państwa Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka. Dzięki ratyfikacji Polska, jako kolejne państwo, zgłosiła swój akces do tej umowy międzynarodowej o wyjątkowym znaczeniu. Wyjątkowe znaczenie Paktów Praw Człowieka trzeba podkreślić z naciskiem. Uchwalone na XXI Sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, 16 grudnia 1966 roku /a więc otwarte do podpisu już przed dziesięciu laty/, składające się z dwóch części: Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych oraz Międzynarodowego Paktu Praw Gospodarczych, Społecznych i Kulturalnych - nie mają charakteru deklaracji, ale są wielostronną umową międzynarodową nakładającą na państwa-strony konkretne zobowiązania. 3/ "Życie Warszawy" określiło Pakty jako "pierwszy doniosły akt prawa międzynarodowego mający na celu zagwarantowanie praw człowieka w formie traktatowej." Inaczej mówiąc: Pakty tworzą zbiór norm prawa międzynarodowego, którym państwa-strony zobowiązują się podporządkować swoje wewnętrzne systemy prawne. Państwa-strony niniejszego Paktu zobowiązują się do przestrze-

genia i zagwarantowania wszystkim jednostkom... /Art. 2
nanych nieniejszym Paktem bez żadnych różnic... /Art. 2
Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych/. Zwróćmy uwagę
na gwarancje wykonania przez sygnatariuszy Paktów tego
zobowiązania. Powołano Komitet Praw Człowieka - specjal-
ny organ ONZ kontrolujący postępowanie państw w dziedzi-
nie przestrzegania praw człowieka /Art. 28 Paktu Praw
Obywatelskich i Politycznych/. Państwa przystępujące do
traktatu zobowiązują się do składania Komitetowi sprawoz-
dań "opodjęciu środków zmierzających do realizacji praw
uznanych w Pakcie oraz o postępie dokonanym w dziedzinie
korzystania z tych praw" /Art. 10/. Art. I Protokołu
Opcyjnego do Paktu Praw Obywatelskich nakłada na państwa-
strony, które ratyfikują dodatkowo Protokół, szczególny
obowiązek: "Państwo-Strona Paktu, stając się stroną
niniejszego Protokołu, uznaje kompetencje do przyjmowania
i rozpatrywania skarg pochodzących od podległych jego
jurysdykcji jednostek twierdzących, iż stały się ofia-
rami naruszenia przez to Państwo-Stronę jakiegokolwiek
z praw wymienionych w Pakcie." Oznacza to, że każdy oby-
watel państwa związanego Paktami i Protokołem, wobec
którego jakiegokolwiek prawo zagwarantowane Paktami zosta-
ło naruszone - może odwołać się do Komitetu Praw Czło-
wieka, a państwo-sygnatariusz zobowiązane jest to odwo-
żanie przekazać.

Prawo do swobodnego posługiwania się słowem podkreś-
lone w Paktach wielokrotnie. W Pakcie Praw Obywatelskich
i Politycznych powiedziano: "Nikt nie może być prześlą-
dowany z powodu swych poglądów. Każdy człowiek ma prawo
do swobodnego wyrażania opinii; prawo to obejmuje swobodę
poszukiwania, otrzymywania i rozpowszechniania informac-
cji i poglądów wszelkiego rodzaju, bez względu na gra-
nice, słowem, piśmem lub drukiem, w postaci dzieła sztuc-
ki bądź w jakikolwiek inny sposób, według własnego wybo-
ru." /Art. 19, ust. 2./. Zasada ta została potwierdzo-
na w Pakcie Praw Gospodarczych, Społecznych i Kultural-
nych: "Państwa-Strony niniejszego Paktu zobowiązują
się do poszanowania swobody niezbędnej dla prowadzenia
badań naukowych i działalności twórczej." /Art. 15, ust.
3./

W "Życiu Warszawy" z 4 marca br. umieszczono nastę-
pujące zdanie: "W dyskusji na posiedzeniu Rady Państwa
ustawodawstwo polskie poszło znacznie dalej w zakresie
ochrony praw człowieka, jednocześnie jednak stwierdzono,

że Pakty wyznaczą kierunek postępu w skali między-
 środowiskowej, a ratyfikowanie ich przez Radę Państwa od-
 powiada tradycji popierania przez Polskę postępowych
 idei humanitarnych." Z informacji tej nie wynika, aby
 w czasie dyskusji mówiono o sprawach, w których usta-
 wodawstwo nasze i praktyka pozostają w tyle za Pakta-
 mi. Do tych spraw należałoby zaliczyć i umieścić jako je-
 den z pierwszych punktów do dyskusji - ochronę prawa
 do swobodnego posługiwania się słowem.

Wolność słowa jest oczywiście jedna, niepodzielna -
 jest lub nie istnieje. Wszelkie sztuczne różniczenia,
 jak to, że inna jest wolność słowa typu burżuazyjnego,
 a inna socjalistyczna, lub próby uzasadnienia ograni-
 czeń - trzeba uznać za verbalizm pozbawiony treści.
 Zasady, gwarantujące wolność słowa, umieszczone w Pak-
 tach Praw Człowieka, nie są przestrzegane wszędzie
 tam, gdzie działa niekontrolowana cenzura o char-
 akteru prewencyjno-represyjnym. Fakt istnienia cenzury
 przekroczył wszystko, co na temat wolności słowa ma
 być powiedziane w dokumentach międzynarodowych od trzydziestu
 lat, poczynając od Deklaracji Praw Człowieka na Pak-
 tach kończąc. Przekroczyła także zasadę wypowiedzianą
 w Konstytucji. Ta sprzeczność między formalnym uznawa-
 niem wolności słowa a praktyką łamania tej zasady -
 dla każdego czytającego i myślącego człowieka w Pol-
 sce jest oczywista. Dla prawników oczywista będzie
 również sprzeczność między obowiązującymi, po złożeniu
 ratyfikacji, normami prawa międzynarodowego a przepisami
 wewnętrznymi legalizującymi działalność Głównego Urzę-
 du Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk.

Działalność cenzury w Polsce unormowana jest de-
 kretemi: z 5 lipca 1946 roku "o utworzeniu Głównego
 Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk" /Dziennik
 Ustaw nr 34 z 46 r. poz. 210/ oraz późniejszymi,
 rozszerzającymi kompetencje Urzędu - z 1948, 52 i 53
 roku. Na ich podstawie Prezes Rady Ministrów ogłosił
 28 kwietnia 1975 r. rozporządzenie "w sprawie zakresu
 i trybu sprawowania nadzoru i kontroli przez Główny
 Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk" /Dziennik
 Ustaw nr 13 z 1975 r., poz. 75/. Warto zwrócić uwagę
 na fakt, że Główny Urząd Kontroli powołano w 1946 roku
 dekretem zatwierdzonym tylko przez Prezydium Krajowej
 Rady Narodowej. Również wszystkie późniejsze akty praw-

no, rozszerzając kompetencje Urzędu, to dekrety. Wydawane w warunkach szczególnych - w czasie zwanym okresem kształtowania się i umacniania władzy ludowej w Polsce - obowiązują do dziś. W tej tak ważnej dla rozwoju kulturalnego kraju działalności Sejm nie wypowiedział się nigdy. Na podstawie dekretów z lat 1946-1953, w roku 1975 Prezes Rady Ministrów wydał wspomniane rozporządzenie /była to zresztą, któraś z rzędu, aktualizacja przepisów wykonawczych/. W paragrafie I rozporządzenia czytamy: "Rozpowszechnianie wszelkiego rodzaju druków, zapisów obrazu i słowa oraz każde publiczne wykonanie utworu z tekstem słownym albo utworu mimicznego w działalności artystycznej lub rozrywkowej podlega nadzorowi Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk i wymaga zgody tego Urzędu." Przypomnijmy w tym miejscu i porównajmy powyższy przepis z Art. 19 ust. 2 Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych: "Każdy człowiek ma prawo do swobodnego wyrażania opinii; prawo to obejmuje swobodę poszukiwania, otrzymywania i rozpowszechniania informacji i poglądów wszelkiego rodzaju, bez względu na granice, słowem, pismem lub drukiem, w postaci dzieła sztuki bądź w jakikolwiek inny sposób, według własnego wyboru." Jakże tu mówić o swobodnym rozpowszechnianiu informacji i poglądów - słowem, pismem lub drukiem bez względu na granice - jeśli każdy rodzaj druków, zapisu obrazu i słowa, nawet słowo niemo w utworach mimicznych, wszystko podlega kontroli cenzury?

W paragrafie 5 rozporządzenia powiedziano: "Główny Urząd nie udzieli zgody na rozpowszechnianie druków, zapisów obrazu i słowa oraz na publiczne wykonanie w działalności artystycznej i rozrywkowej utworu, jeżeli byłoby ono szkodliwe dla dobra i interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej." To wieloznaczne sformułowanie stwarza ogromne możliwości dowolnej interpretacji. "Szkodliwe dla dobra i interesów PRL" może być, oczywiście, wszystko. Nawet nieodpowiednia mina w teatrze mimicznym.

We wstępie do polskiego wydania Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela /Biuro Informacji ONZ, Polskie Towarzystwo Przyjaciół ONZ, Spółdzielnia Wydawnicza "Czytelnik" Warszawa 1960 r./ przeczytać można zdanie:

"Przetłumaczona na większość języków świata Powszechna Deklaracja Praw Człowieka zbiera oraz porządkuje osiągnięcia i postulaty człowieka, który od wielu setek lat toczy nie skończoną jeszcze walkę o swoją wolność i swoją godność." Należałoby dodać, że walka jest trudniejsza i bardziej skomplikowana tam gdzie państwo deklaruje na zewnątrz pełne poszanowanie wszystkich praw człowieka, a w rzeczywistości niektóre z nich łamie i nie przestrzega. Prezes Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk "może pozbawić z przyczyn określonych w paragrafie 5 gazety czasopisma i inne druki pochodzenia zagranicznego debitu komunikacyjnego, zakazując sprowadzania ich na obszar PRL w celu rozpowszechniania." "Gazety, czasopisma i inne druki pozbawione debitu komunikacyjnego nie mogą być przewożone przez obszar PRL..." /W paragrafie 9 rozporządzenia/. Jak widać władza Prezesa sięga nawet poza granice kraju.

W warunkach, w jakich żyjemy, mówię o skutecznym protestowaniu przeciwko ograniczonej, rosnącej z roku na rok władzy, przeciwko już nie "kontrolni i nadzorowi", ale wprost duszeniu słowa w Polsce - świadczyłoby, niestety, o przesadnym optymizmie. Myślę, że protestować jednak trzeba przy każdej nadarzającej się okazji, ponieważ każda obojętność, każda zgoda na istnienie niemożliwego stanu, każde spuszczenie głowy - sprzyjać tylko może tej niczym nie ograniczonej władzy. Trzeba również zdawać sobie sprawę z niebłahego przecieź faktu, że z punktu widzenia takich aktów prawa międzynarodowego, jak Powszechna Deklaracja lub Fakty - istnienie cenzury świadczy dobitnie o łamaniu praw człowieka w dziedzinie wolności słowa. A dzieje się tak dlatego, o czym również warto pamiętać, że: "Każdy człowiek ma prawo wolności opinii i wyrażania jej; prawo to obejmuje swobodę posiadania niezależnej opinii, poszukiwania, otrzymywania i rozpowszechniania informacji i poglądów wszelkimi środkami, bez względu na granice."

"W korzystaniu ze swych praw i wolności każdy człowiek podlega jedynie takim ograniczeniom, które są ustalone przez prawo wyłącznie w celu zapewnienia odpowiedniego uznania i poszanowania praw i wolności innych i w celu uczynienia zadość słusznym wymogom

godności, porządku publicznego i powszechnego dobrobytu demokratycznego społeczeństwa."

"Każdego z postanowień Deklaracji nie można rozumieć, jako udzielającego jakiegokolwiek Państwu, grupie lub osobie jakiegokolwiek prawa do podejmowania działalności lub wydawania aktów zmierzających do obalenia któregokolwiek z praw i wolności zawartych w niniejszej Deklaracji." /Art. 19, 29 ust. 2 i Art. 30 Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela/. "... Korzystanie z praw zapewnionych przez państwo zgodnie z niniejszym Paktem może być poddane przez państwo tylko takim ograniczeniom jakie przewiduje ustawa i tylko w tej mierze, w jakiej jest to zgodne z istotą tych praw oraz wyłączenie w celach popierania ogólnego dobrobytu w społeczeństwie demokratycznym." /Art. 4 "Aktu Praw Gospodarczych, Społecznych i Kulturowych"/ "Państwa uczestniczące uznają, powszechnie znaczenie praw człowieka i podstawowych wolności, których poszanowanie jest istotnym czynnikiem pokoju, sprawiedliwości i dobrobytu, niezbędnych do zapewnienia rozwoju przyjaznych stosunków i współpracy między nimi, jak również między wszystkimi państwami... Potwierdzają one prawo jednostki do zaznajomienia się z jej prawami i obowiązkami w tej dziedzinie i postępowania zgodnie z nimi. W dziedzinie praw człowieka i podstawowych wolności Państwa uczestniczące będą postępować zgodnie z celami i zasadami Karty Narodów Zjednoczonych i z Powszechną Deklaracją Praw Człowieka. Będą one również wypełniać obowiązki określone w deklaracjach i porozumieniach międzynarodowych w tej dziedzinie, włączając w to między innymi Międzynarodowe Pakty Praw Człowieka, jeśli są one z nimi związane." /fragment punktu VII, rozdz. I., części a/ Aktu Końcowego Konferencji w Helsinkach; "Książka i Wiedza", Warszawa - 1975 r./.

...ska Rzeczypospolita Ludowa jest związana wszystkimi wymienionymi wyżej dokumentami. Przedstawiciele Polski brali udział w głosowaniu nad ich uchwaleniem, składali podpisy, Rada Państwa ratyfikowała. Dlatego mamy prawo pytania głośno, w jaki sposób państwo zagwarantuje pełną realizację wszystkich praw i wolności zebranych w Faktach Praw

Człowieka? 5/ Czy na temat gwarancji wolności słowa znajdzie się punkt w sprawozdaniu, jakie państwo nasze zobowiązało się złożyć Komitetowi Praw Człowieka? /Art. 40 Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych: "Państwa-Strony niniejszego Paktu zobowiązują się do przedstawienia sprawozdań o podjęciu środków zmierzających do realizacji praw uznanych w niniejszym Pakcie oraz o postępie dokonanym w dziedzinie korzystania z tych praw: a/ w ciągu roku od daty wejścia w życie niniejszego Paktu; b/ następnie na każde wezwanie Komitetu." / Czy w sprawozdaniu tym będzie mowa o likwidacji bądź przynajmniej ograniczeniu samowoli cenzury? O zniesieniu przepisów na podstawie których działa Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk? Czy będzie mowa o realizacji zobowiązania, ujętego w Art. 2 ust. 2 Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych, co do podjęcia "kropek" zmierzających pozwolić na przyjęcie takich środków prawnych lub innych, które umożliwią wprowadzenie praw uznanych Paktem, a nie mających dotychczas mocy obowiązującej"?

Warszawa, lipiec 1977.

Kazimierz Orłos

- 1/ Na marginesie można zauważyć, że oddanie do użytku publicznego drukarni, zasobów papieru, gumachów i sal w praktyce okazało się nie wystarczające. Konkretną gwarancją wolności słowa byłoby na pewno zniesienie cenzury - Art. 33 ust. 2 Konstytucji nie wspomina, niestety, o tym.
- 2/ Pierwszym dokumentem międzynarodowym, który mówi o prawach człowieka, była Karta Praw Człowieka i Politycznych. Podpisana w San Francisco w 1945 r., nie konkretyzowała jednak tych praw - była przede wszystkim aktem aneksyjnym ONZ określającym cele i zadania Organizacji.
- 3/ Podział na dwie części uzasadniany był samymi różnym poziomem rozwoju poszczególnych krajów.

Prawa obywatelskie i polityczne mogą być zagrożone przez każde państwo natychmiast, natomiast realizacja takich praw, jak prawo do pracy, nauki i opieki nad zdrowiem, wymaga określonego stopnia rozwoju gospodarczego. Nie wdając się w szczegółową analizę różnic można powiedzieć, że obowiązek respektowania tej drugiej grupy praw został sformułowany mniej kategorycznie, niż w wypadku praw obywatelskich i politycznych.

4/ "Życie Warszawy" z 4 marca br. nie wspomina, czy Protokół Opcyjny został ratyfikowany łącznie z Paktami, czy też nie.

5/ Ratyfikowane w tym roku, nie zostały dotychczas opublikowane w Dzienniku Ustaw, w którym są ogłaszane umowy międzynarodowe. Zostały opublikowane przed kilkanaście laty w "Zbiorze Dokumentów" Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych - Warszawa 1968 r., s. 29 i 30.

W roku 1976 ukazała się książka Anny Michalskiej - "Podstawowe prawa człowieka w prawie wewnętrznym a Paktów Praw Człowieka". Napisana językiem prawniczym jest szczegółowym komentarzem, nie zawiera, niestety, tekstu Paktów Praw Człowieka. Wydawnictwo Prawnicze, Warszawa 1976 - nakład 900 + 100 egz.

K A M P A N I A

Odpowiedź na pytanie - co jest istotą pancernia nad słowem publikowanym, brzmi na ogół: cenzura. Z emuncjacji oficjalnych dowiedzy się jednak, iż polega ona na "wywieraniu określonego wpływu na opinię publiczną", na przekształcaniu "stanu świadomości społecznej, weryfikacji dawnych pojęć i wartości pochodzących z poprzednich formacji, których przydatność winna być sprawdzona". Stwierdzono to mówiąc o zabiegu może od cenzury groźniejszym - o zamierzonym i celowym kształtowaniu umysłów ludzkich. Cenzura bowiem "nas zubaża, a propaganda odżywia". Choć oczywiście ta pierwsza jest nieodzownym warunkiem skuteczności tej drugiej.

Oddziaływanie propagandowe najintensywniej występuje w środkach masowego przekazu / dla celów cenzury wystarczy w zupełności w dalszych rozważaniach porzucić na prasie codziennej/. Zwykle swoje "prace" w tym prawie nie dostrzegamy, przywykliśmy do nich, jak do brzydkich naszej codzienności. Ujawnia się nagle i z nagłą w momentach k a m p a n i i p r a s o w e j. Jest ona zjawiskiem niezwykle interesującym. Towarzyszy z reguły kolejnym kulminacjom napięć społecznych lub politycznych i stanowi ich jedynie powszechnie dostępne zwierciadło - choć mało powiedziane, że krzywe. Rodzą ją różne przyczyny - trudności, od których trzeba odwrócić uwagę, nieoczekiwane wydarzenia, których trzeba sprzątnąć, wewnętrzpartyjne walki, które trzeba wygrać. Jest zawsze wywołana przez sytuację wypowiedzianą władzą, wypowiedzianą, która ją w istocie rzeczy domaskuje: z dnia na dzień władzę porządku musi optymistycznie-suferyczną, że która się normalnie skrywa i ukazać się prawdziwą naturę - reakcyjną i policyjną /1968/, antyrobotniczą /1970, 1976/, swą niesuwerenność /1975-1976/ - a tego roku także swą słabość: wobec katastrofy gospodarczej, robotników, aparatu i opozycji. A wreszcie kampania łączy się z pewną spontanicznością i odsłania mechanizm pracy politycznej u podnóża władzy. Na sceny tego rodzaju partyjno-dziennikarskich przez krótki czas wchodzi jej polityka: oto szansa by skoczyć parę oczek wyżej, postawić na właści-

wą kartę, dowiesć oddania. Kampania to wielki otwarty konkurs na lizustostwo, spryt i bezwzględność. Niekiedy zmienia się w konkurs obowiązkowy dla wszystkich.

Lecz takie spojrzenie na wzmożoną akcję propagandową dostępne jest dla tych jedynie, którzy posiadli sztukę wskaźnikowego odczytywania prasy. Opiera się ona na umiejętności deszyfrowania tekstów - znajomości umownych sformułowań, znaczeń szeregowania poszczególnych elementów danej informacji, sensów związanych z natężeniem wartościowań - zawartość treściowa artykułu jest tu drugorzędna. Postawa taka bywa jednak zawodnicza, bo jest jednostronna. Umiejętność dostrzegania znaczących pońtekstów może prowadzić do lekceważenia treści formułowanej wprost, a nie jest ona tylko pretekstem, ma do spełnienia określoną funkcję.

Istnieje przecież i ten drugi, dostępny sposób czytania gazety i jest z całą pewnością powszechniejszy. Tą właśnie relacją: propaganda - ułny odbiorca chcielibyśmy się zająć. Jakikolwiek bowiem byłoby cele publicysty - włączenie się w polityczną rozgrywkę, odmeldowanie swej lojalności, wykonanie polecenia by udowodnić, że białe jest czarne - produkuje on jednak tekst skierowany do jakiegoś odbiorcy. I: cóż z tego. że opasywany w nim stan rzeczy składa się z półprawd i całych kłamst, że związki między faktami nie mają nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem, motywacja bohaterów wydarzeń - z jakimkolwiek prawdopodobieństwem psychologicznym, używane terminy ze swym słownikowym czy nawet potocznym znaczeniem. Tekst taki nie ma wyjaśniać, tłumaczyć i przekonywać. Ma wzbudzić emocje i aprobatę.

Jak to się robi? Przyglądając się najmniejszej nawet notatce można wyróżnić w niej trzy warstwy:

Faktograficzną /np. powstał KOR, pisze się o tym w zagranicznej prasie/

Interpretacyjno-wartościującą /we wrogim celu, z poduszczenia zagranicy, co równie jest zdradzie/

Emocjonalną - a/ odwołującą się do zakorzenionych przekonań lub uprzedzeń news/robią to dydźzi w interesach

odwetowców niemieckich/

b/ wytwarzając nowe zbitki uczuciowo-wartościujące /krytykować Partię znaczy szkalować Polskę/

Takie uporządkowanie wskazuje etapy, jakie winien przebyć adresat tekstu, by stać się obywatelem wizerowym, członkiem zbiorowości, w imieniu której autor kampanijnych agitek używa zainka "my".

Lecz ci, którzy posiadają umiejętność wskaźnikowego czytania prasy, poprzestaną na warstwie faktycznej - w podanym przykładzie na wiadomości, że powstał KOR, a swoją ciekawość zaspokoją w zachodniej prasie, zagranicznym radiu lub u lepiej poinformowanego znajomego.

Żeby zaakceptować warstwę interpretacyjno-wartościującą, należy już mieć pewne określone dyspozycje. By je zrekonstruować, warto przypomnieć obraz sytuacji roku 76-77 w gazetowej wersji.

Ursus i Ursus to jakieś chuligańskie marginalia - sprawy już w lipcu godne jedynie skąpych notatek "z sali sądowej", sprawy skazane na wytarcie z pamięci. To co istotne ujmijmy w punktach:

1. Polska się rozwija i ma liczne sukcesy
2. Zachód ma poważne trudności
3. Pewnym siłom na Zachodzie nie w smak nasz rozwój, robią co mogą, aby go powstrzymać
4. Siły te mają w Polsce sojuszników, którzy pragną realizować ich cele
5. Dlaczego to robią? Bo nienawidzą Polski i
dowej
6. Dlaczego nienawidzą? Bo są związani z obcymi ideologiami z burżuazyjnym światopoglądem z koncepcjami endecji i sanacji, chadecji, chadecji, prawicowego socjalizmu
z faszyzmem
liberalizmem.
z rewizjonizmem
z syjonizmem.
z trockizmem
z reakcjonizmem
z oportunistem
i z NEP-em

7. Co robią ci przeciwnicy? - rozrabiają, macą, oczerniają
8. Czy mają jakieś szanse? Nie
9. Dlaczego więc to robią? By się przygodobać swoim mocodawcom
10. A co z tego mają? Satysfakcję, bo obce im wszystko co nasze. I tak dalej.

Czytelnik, który zgodzi się na powyższą konstrukcję, musi być człowiekiem, dla którego władza/prasa jest autorytetem nadrzędnym - ufa im się bardziej niż własnym oczom i własnej pamięci. Informacje selekcyjnie nie wedle ich treści i ich zgodności z posiadaną wiedzą, lecz wedle źródła, z którego pochodzą. Akceptuje stwierdzenia wzajemnie sprzeczne i niespójne. Psychologia społeczna orzekłaby, że odznacza się dogmatycznym typem myślenia.

Należałoby jednak krąg przekonanych rozszerzyć o tych, którzy nie tyle może cechują się dogmatyzmem, ile będąc przez całe życie skazani na jedno źródło informacji odznaczają się niewiedzą i niezawinioną nawet ignorancją. Na nich obliczona jest szczególna metoda kampanijnych tekstów - raz po raz odwołują się one do jakichś oczywistości, do czegoś, co jest powszechnie znane; z dawna wiadomo, widoczne na pierwszy rzut oka. Budzić to ma w czytelniku poczucie pokory, w którym winny utonąć wszelkie wątpliwości i pytanki - "no, co to są "wiadome siły"?" Dla wszystkich jasno, "udać coś w tym jest".

Tak więc propagandę, w czas swego wzmożonego pobudzenia czybi tych, co czytają gazetę szkiełkiem i okiem - mierzy w tych, co czynią to specyficznym czuciem i wiarą. Natrąsanie się z intelektualnego poziomu kampanii, jest łatwym wymijaniem sprawy. Gdyż kto wie, czy jest tu miejsce na politowanie - może raczej na obawę i lęk. Jakże to bowiem emocje, stereotypy i przeświadczenia się przywołuje i jakie nowe wartości chce na nich budować - spróbujmy zobaczyć.

Oficjalny język niezwykle silnie nasycony jest terminologią wojskową. Na licznych frontach /ideologicznym, produkcyjnym, żniwnym/ toczą się nieustające walki /o pokój/, bitwy /o plan/, lampanie /su-

raczanej. Używanie jednak w tym tekście określenia "kampania prasowa" nie jest spowodowane powolnością wobec militaryzacji polszczyzny. Ma uzasadnienie takie oto, iż w pogodnie uroczystym gazetowym świecie wypełnionym pełną sukcesów pracą licznych zbiorowości: górników, rolników, studentów pojawia się nieoczekiwanie konkretny, zindywidualizowany przeciwnik. Jest on elementem konstytutywnym kampanii: przyczyną sprawczą, celem obstrzału, jądrem emocji.

By wypełnić swą rolę musi być przede wszystkim inny. Przeciwnikiem bowiem nie zostaje się z racji podejmowanych działań, jest się nim z racji zasadniczej obcości. Toteż wyjaśnienia jego postępowania nie należy szukać w otaczającym go świecie, ale w nim samym i w jego wrogości. Atrybutem wroga zaś jest to, że łatwo go odróżnić.

Idealną z tego względu sytuację mieliśmy w Marcu 1968. Nie tylko dlatego, że odmienność wskazywanego przeciwnika była ewidentna - w nazwisku czy nazwisku panińskim matki, a nawet babki. Także dlatego, że przywołany wówczas pełnym głosem antysemityzm ma identyczną strukturę myślowo-emocjonalną jak ta, która dotyczy wroga. Istotą antysemityzmu jest wstępnie przyjęty pewnik, że Żyd jest inny - obcy - wrogi. I wszelkie jego działania są skażone z natury rzeczy piętnem zła lub podstępności.

Dodajmy, że był to już antysemityzm w formie czystej, nie dający się zrationalizować względami ekonomicznymi jak przed wojną, czy politycznymi jak wkrótce po wojnie. Stał się aktem wiary nasyconym nienawiścią i nie potrzebował żadnych uzasadnień czy egzemplifikacji. W Marcu ćwiczone nas w emocjonalnej wymienności pojęć inny - obcy - wróg. Antyteza tych właściwości i ich pochodnych tworzyła platformę na której winnyśmy się jednoczyć. Była to 100-procentowa polskość /w sensie rasowym - czystości pochodzenia/ i właściwa nam szlachetność /u nas nigdy nie było stosów, za to najstarsze w Europie tradycje tolerancji/.

W niespełna trzy lata później przeciwnikiem okazała się jednak ta grupa społeczna, której Partia mieniła się być emanacją: klasa robotnicza, źródło

charyzmy sankcjonującej wszechwładzę. Ale rychło i na to znalazła się rada. Cechą odróżniającą wroga okazała się m ł o d o ś ć. W opisach wydarzeń, ilekroć ktoś się wydzielił z tłumu by rzucić kamień, nieść zwłoki czy podpalić samochód, podkreślano, że był młody. Wiek był początkowo synonimem chuligaństwa, w styczniu zaś, gdy tamcja zniszczyła się na pojedynczą - młodzież trwale kojarzone ze szkodliwą nieodpowiedzialnością. A właściwą jej według gazet niecierpliwosć, popędliwość i lekceważenie dorobku społecznego przeciwstawiano umiarowi i rozsądkowi, pragnieniu ładu i porządku, szacunku dla dobyteku, wartościom cenionym przez nas, ludzi dojrzałych i statecznych. Znow, nie sytuacja była powodem wystąpień, lecz nieodpowiedzialność niedoświadczonej młodości.

W roku 1976/77 przeciwko polityce władz stanęli robotnicy, pisarze, studenci, duchowni, chłopci, uczeni - reprezentanci bez mała wszystkich grup społecznych. Zadaniem propagandy było wskazać wspólną deprecjonującą cechę dla ludzi sędziwych i młodych, duchownych i niewierzących, intelektualistów i robotników, tych z obco brzmiącymi nazwiskami i tych, których nazwiska są powszechnie znane. Wynikiem wywiązała się z karkołomnego zadania:

"Czego tam nie ma w ich "programach". I utopia, i trockizm, i szczytki socjaldemokracji, i kawałki NBP-u i najważniejsza amunicja antykomunistyczna, i kawałek syjonizmu, i kawałek chadecji." - pisze Bohdan Rebiński o brozyccy. o Jerzym Andrzejewskim zaś: "Jego kancleonizm społeczno-polityczny /nie-marksista, nie katolik.../ będzie tylko fragmentem biografii pewnego człowieka".

"W koncepcjach ich krzyżują się nieoczekiwanie idee liberalizmu burżuazyjnego i nacjonalizmu, rewizjonizmu i anarchizmu".

"Kto demonstruje głodowanie? Jest ten katolik, są tacy, którzy prawdopodobnie po raz pierwszy weszli do kościoła i dwoje krewnych człowieka odbywającego karę za przestępstwa państwa". "Przedziwnie ukształtowana grupa" - podsumuje Dominik Horodyński.

"Jedenaście osób pięci odcjga i w różnym wieku zorganizowało tę "głodówkę" w świątecznej kaplicy." "Wdał

się w to towarzyswo pan Cywiński z Krakowa, redaktor jednego z katolickich miesięczników. Czego ten pan szukał w tym gronie? Kto lepiej wykorzystał te siedem dni? Czy zwolennicy obcych panu Cywińskiemu teorii trackistowskich, czy też pan Cywiński ze swoim światopoglądem? Może w atmosferze wzajemnego zrozumienia nastąpiło w tym towarzystwie zbliżenie światopoglądów? w dzisiejszym świecie wszystko jest możliwe /.../ Dziwna to grupa ludzi - mieszanina życiorysów i światopoglądów" 5/ Tak zdumiewa się Anna Kłodzińska w Życiu Warszawy.

Otóż i jest wyjście. Nie można znaleźć dla wrogów wspólnego mianownika - źródła ich wrogości, tego co ich od nas odróżnia? Można - to właśnie ta wielkość przekonań, ewolucje światopoglądowe, odmienne życiowe i ideowe drogi: ich p l u r a l i z m przeciwko naszej jedności moralno-politycznej.

Kombinacja ta ma tylko jedną mocną stronę - wywołuje negatywną aurę emocjonalną wobec pluralizmu. Ten jednak nie umywa się jako wyróżnik przeciwnika do pochodzenia czy młodego wieku. Toteż nie ma wyjścia, trzeba się skazać na tautologię. Przedstawić personalnie "znów tych samych ludzi", "tych co dwadziestu lat" i objaśnić, że są wrogami bo nienawidzą Polski, i nienawidzą Polski bo są jej wrogami, zaś szeroki kontekst społecznej opozycji zredukować do przewrotności metod "małej grupki", która manipuluje impulsywną młodzieżą i naiwnymi intelektualistami.

Jeśli już idzie o tych ostatnich, to nie omieszkać no zagrać na strunie antyinteligentnych nastrojów, wygrywając emocjonalnie pracę mięśni przeciwko pracy umysłu. Intelektualiści nie produkują, nie mają pojęcia o ciężkim znoju, tym samym są odizolowani nie jako od istotnego nurtu naszego życia. Zadaniem ich jest służyć pracującemu społeczeństwu swymi umiejętnościami i nic ponad to. "Studenci do nauki, pisarze do pióra!" wołały gazety w Marcu, a ludzie dodawali "Robotnicy do łopaty" słusznie rozszyfrowując istotę tego hasła jako przyuczanie do akceptacji społecznych barier izolacyjnych, do wywłaszczania ludzi z praw politycznych. Każdy winien zajmować się tylko wyznaczonym odcinkiem, sprawy ogólne są otoczone szczególną troską i opieką i to nam powinno wystarczyć.

Obecnie wariant antyinteligencji został rozegrany jakby łagodniej, mniej prostacko, lecz w sposób groźniejszy i bardziej wyrafinowany.

Prawo do zabierania głosu przyznano tym, co ciężko pracują i chcą to robić w spokoju. To zagrywka tradycyjna - intelektualistów, w potocznym przokonan-
niu, do którego właśnie takimi zdaniami się apeluje, nie pracują, tylko coś piszą. Nadto jednak uderzono w ich legitymację. W to, co wczesny profesor Szczyński określił jako poszukiwanie "prawdy i praw rządzących światem rzeczy, życia i ludzi", dążenie do tego, "by tworzyć nowe programy ułożenia jego spraw, bądź też wzbogacać go nowymi wartościami". Pisał też wówczas, przed dwudziestu laty, iż zadaniem ich jest "rządzącym dostarczać podstaw do podejmowania rozsądnych decyzji i rozumnego sprawowania władzy".

Otóż nie z tych rzeczy - w gazecie z 1977 roku "rzeczownikowi "intelektualista" najczęściej towarzy-
szy przymiotnik "naiwny". W sumie mamy tonację po-
błażliwego lekceważenia. Intelektualiści nie tylko
nie są w stanie zrozumieć "wszystkich praw ekono-
mii i praw mechanizmów rządzenia" - są to "lu-
dzie niedoświadczeni, którzy w imię humanistycznie
sformułowanych haseł /.../ użyczają bez poważnego
wzrostu swoich nazwisk, dla firmowania działań, któ-
rych istotnego sensu politycznego nie dostrzegają."
Dają się manipulować z dawną zdemaskowanym graczom,
a nadto nierządki ulegają tak ewidentnie fałszywym
blaskom Zachodu.

W kogo by się nie wcielił wróg wewnętrzny: Żydów,
ehuliganów, "małą krzykliwą grupę" z przyległoscia-
mą, byłby postacią mdłą i nieelektryzującą, gdyby
nie to, że ilekroć się pojawia, Polska zmienia się
w wysunięty przyczółek obłąconego przez wrogie siły
obozu. W takim kontekście nieznanne bliżej działania
przeciwników wewnętrznych zyskują konkretną nazwę:
zdrada. Zdrada jest terminem jednoznacznie emocio-
nalnie, zależnie jednak od potrzeby obejmującym
bardzo różne zachowania: emigrację, powołania oso-
biste z pewnymi cudzoziemcami, orubienie ale arty-
kułu za granicą, wywiad z zachodnim dyplomatem -

aż do podpisania zbiorowego protestu czy do podjęcia strajku - gdyż tym samym leje się wodę na młyn dywersyjnej propagandy.

Konstrukcja wroga zewnętrznego jest wyraźnym bardzo przykładem metody polegającej na odwoływaniu się do istniejących w społeczeństwie negatywnych emocji i rozszerzaniu ich na sferę rzeczywistości obojętnej lub wartościowaną dodatnio. Taką sferę stanowi w powszechnym odczuciu świat zachodni. W wersji gazetowej świat ów podziwia zazwyczaj nasze sukcesy i przyznaje nam wysoką rangę, lecz gdy przychodzi czas kampanii, okazuje się zniechęca, że pełen jest wrogich i nieprzyjaznych sił. Można je oczywiście nazwać imperialistycznymi, ale ze świadomością, że przymiotnik ten umiarkowanie przemawia do wyobraźni. Nie zawadzi natomiast nigdy przywołanie resentymentów antyniemieckich... /rzecz zresztą często praktykowana by odwracać społeczną uwagę od innych spraw/. W ostatnim roku mieliśmy więc krótką "tradycyjną" kampanię przeciwko rewanżystom i odwetowcom wywołaną sprawą obozu w Łambinowicach /ta ciągnie się już w RFN od wielu lat, ale skąd szary konsument informacji ma o tym wiedzieć, by zadać pytanie, dlaczego dopiero teraz nas oburzyła/. A równocześnie wątek niemiecki najsilniej, czy wręcz w sposób dominujący występował w relacjach o wrogich siłach, które sprzymierzyły się przeciwko nam. Są one powszechnie znane, ale wymienia się tylko koła zachodnio-niemieckie, a wśród dewiz, którymi nie gardzą poplecznicy owych sił w kraju - tylko marki, wśród gazet zachodnich szkalujących naszą rzeczywistość - głównie tytuły stamtąd. /W artykule B. Rolińskiego "Wszystkie anteny na Polskę" nr 13 cytowanych pism europejskich, IO jest z RFN/.

W ten sposób nieokreślona wrogość Zachodu ma się wypełnić konkretną wrogością Niemców, a rozbudzone antyniemieckie nastroje przenieść się winny mocą negatywnych skojarzeń na świat zachodni.

Czy oprócz ksenofobii, postaw repulsywnych, barier izolacyjnych gazeta ma coś do zaproponowania? Tak. I to nawet dość spójny system wartości - przyjrzyjmy się chociaż niektórym z nich.

Szacunek dla dóbr materialnych - taki, który każe

...zawoj comi6 mi4 zycie i zdrowie ludzkie. w 1970
... dominuj4cym tonem prasy by4 lament nad zmarnowa-
nym dobytkiem. Zdjecia i opisy jakich gruz6w gdań-
skich, zabytkowego budynku, który omal nie spłona4,
wybitych szyb - mia4y budzi6 oburzenie i gniew, nie
jacy5 zabici czy ranni. W 1976 jedyna rolacja z Rado-
nia m6wi4a o rabowaniu sklep6w, o niszczoj4cej żywno-
no6ci i zmarnowanych dywanach, co wi6cej, dewasto-
wana tam nawet w4asno6 prywatna. Autora artyku4u i
jego domniemanego czytelnika nie interesowali masa-
krowani robotnicy. 107

Owa dorobkiewiczowska, merkantylna 6wiadomo6 oby-
watelska jest nadto pog44biona w aspekcie psycholo-
gicznym: jedynymi motywami ludzkiego dzia4ania s4
interesowno6 i wyrachowanie. Tote4z prasa, przedsta-
wiaj4ca wrog6w Polski, 6pieszy z odpowiedzi4 na py-
tanie: co oni z tego maja? Na przyk4ad z tego, 4e,
po licznych ostrze4eniach, zostali za sw4 dzia4alno6
aresztowani:

"A im, bojownikom teoretycznym, potrzebne by4o
do biografii wi6zienie, a 'wi6zienie komunistyczne'
stanowi6 mia4o najwi6ksz4 w kapitalizmie nobilitacj4
propagandow4." 11/ A dlaczego Jerzy Andrzejewski ocie-
ra si4 o zdrad4? Dla pieni6dzy, 4eby zdoby6 nagrod4
Nobla.

Wygl4da na to, 4e warto6ci takie, jak solidarno6,
odwaga, wierno6 przekonaniom, bezinteresowno6,
wsp6czucie dla krzywdy nale44 do owych pozosta6o6ci
poprzednich formacji, kt6re po sprawdzeniu okaza4y
si4 w tej nowej, naszej - nieprzydatne.
Na jeszcze jedn4 cech4 obywatelsk4 warto zwr6ci6 uwa-
g4. Uczenie okre6li6 j4 mo4na jako potrzeb4 egalita-
ryzmu, w praktyce idzie o tre6 emocjonaln4, tak cz4-
sto to pojecie wype4niaj4c4: o pospolit4 ludzk4 za-
wi66. Propaganda rozbudza j4 w najprymitywniejszym
wydaniu ka4dorazowo. W 1968 bi4a w przywileje partyj-
ne, wydawa4o si4, 4e ju4z straci4a w tym miar4, 4e
w zaci4trzewieniu w4adza sama sobie wymierza ciosy.
Do rangi przest4pstwa ros4o posiadanie samochodu,
wyjazdy zagraniczne, du4e mieszkania, ciuchy z konisu.
W roku 1970 z miejsca wytkni4to stoczniowc6w palcem
jak tych, co zarobki maja powy4ej 6redniej. W ostat-
nim roku ten motyw rozgrywany by4 zdecydowanie 4a-

godniej: co najwyżej personalnie insynuowano, zresztą w formie zawaalowanej, jakiegoś zachodnio dywidendy, z lokka pobrzmiwa też tą nutą sformułowanie, iż Andrzejowski użyczył wywiadu w "ekskluzywnym krajobrazie Zakopanego". Wymawianie przeciwnikom owych niezwykłych przywilejów ma dwie funkcje. Pierwsza to właśnie budzenie prymitywnej zawiści /"takim to się powodzi"/, druga jest o wiele ważniejsza i wyciszenie tonu tego tematu: ostatnimi czasy nie znaczy wcale, że została zaniedbana. Rozważmy ostatni przykład: w tonacji zdania jest oczywiście pretensja, że Jerzy Andrzejowski może sobie bez trudu pozwolić na luksusowe spędzanie wyczasów, podczas gdy dla innych jest to niemożliwe lub trudne. Ale pan Marek Jaworski, autor tekstu, nie należy przecież do osób, które raz na dwa lata dopraszają się przydziału na wczasy PWP. W Marcu szeroka elita partyjna także korzystała z wyklinanych przywilejów. Pasparty wydała organa państwowe i redaktorzy, którzy wówczas wytykali studentom wojaże do Paryża, jeździli tam bez wyrzutów sumienia. Stoczniovcy płace dostawali zgodnie z przepisami, których sami oczywiście nie ustalali. Komisy niby też są po to, żeby w nich kupowali wszyscy, a nie tylko wichrzyciele.

O co więc chodzi? Chodzi o rzecz niezmiernie ważną - o to, że Andrzejowski, marcowi studenci, odsunęci dygnitarze, stoczniovcy okazali się być niewdzięczni. Wszystkie bowiem wymienione profity, z płacami robotników włącznie, nie są czymś, co nam po prostu przysługuje, bo zaoszczędziliśmy na dżinsy, bo ktoś nas zaprosił za granicę, bo pracujemy, bo za pieniądze wypłacone przez wydawnictwo chcemy wyjechać w góry. Nie, wszystko to otrzymujemy od państwa. W Marcu młodzież dowiedziała się, że zawdzięcza państwu stypendia, książku, domy akademickie - i prawo do nauki, w Grudniu robotnicy - iż zawdzięczają mu płace, w czerwcu 1976 okazało się także, że pracę i świadczenia socjalne, i że można im je z dnia na dzień odebrać z lekceważeniem jakichś tam przepisów i kodeksów, pisarze zawdzięczają państwu możliwość tworzenia, a my - wszystko: mieszkania, żywność, zarobki, wykształcenie, pracę, lecznictwo, powinniśmy zawsze o tym pamiętać i dziękować co dzień Bogu, że to państwo jeszcze nas toleruje.

Nie jest to wcale ironizujące przegięcie, możemy o tym zawsze przeczytać w gazecie - w czas kampanii i w czas spokoju: państwo jest wartością najwyższą. Z definicji przysługuje mu słusność absolutna i tym samym prawo podejmowania wszelkich decyzji, stawiania zadań, wyznaczania kierunków, z tejże definicji opatrzonej również niekwestionowalną i jedyną słusnością. Wszystko, co jest z państwem w niezgodzie, tym samym jest zjawiskiem negatywnym, napiętnowanym immanentnym złem. Prądownikiem owego statusu państwa jest fakt, iż dzięki niemu przed ponad trzydziestu laty przekroczyliśmy we właściwym kierunku granicę dychoomicznie dzielącą świat na zły i dobry. Odtąd właśnie wszystko zawdzięczamy państwu. Każdy z nas jest dłużnikiem indywidualnym, wypłacać się winien na wyznaczonym mu odcinku i nie zabierać głosu w sprawach pozań wykraczających, gdyż nie może nigdy mieć racji. Racja bowiem jest jedna i niepodzielna, toteż mamy ją wtedy tylko, gdy dzielimy ją z państwem. A zresztą oddajmy głos gazecie: "Celem /.../ powinna być pełna identyfikacja obywateli z socjalistycznym państwem, zbieżność ich najistotniejszych interesów z interesem państwowym."¹²

I tak doszliśmy do prostego systemu wartości, który rządzi naszym życiem społeczno-politycznym. Cechy omawiane poprzednio wypadły jakoś niekorzystnie, a to z racji stosowania do ich oceny przobrzmałych norm - gdyż w nowej perspektywie nabierają znaczenia fundamentalnych cnót.

Dogmatyzm i ignorancja zmieniają się w lojalność i zaufanie wobec najwyższego autorytetu; ksenofobia - w jedność z państwem w chwili jego zagrożenia; agresja na odmiennie zachowania społeczne, niechęć do postaw pluralistycznych - w scodowanie państwu prawa wszelkich decyzji; fetyszyzacja wartości materialnych - w uznanie ich za dar-ekwiwalent tej cesji.

Zarysowuje się tu portret adresata kampanii. Czy jest nim jedynie grupa przekupionych, upaństwowionych dorobkiewiczów? Odtwórzmy z kolei portret zwykłego, przeciętnego człowieka - człowieka, który o władzy mówi "oni". Jest niedoinformowany, nie dowierżający gazetom, ale i niepewny swojej racji /"ja tam się nie znam"/. Nieufny i niechętny wobec gości sprzeciwu.

i oporu /"przecież to nic nie da, bądźcie jeszcze gorzej"/, czasem wybuchający uogólnioną agresją /"Narozrabiali i wyemigrowali, a my musimy tu siedzieć"; "młodzi, nie przeżyli tego, co my, tylko nieszczęście sprowadzą"; "jest źle, ale żeby Niemcom się skarżyć? oni tylko czekają..."/. Żaginiony i zətroskany, pragnie nade wszystko spokoju /"trzeba jakoś żyć"/.

To jego cechy i cechy postulowane prawie do siebie przystają. Tylko to jedno słowo "oni", którym broni swej odrębności, resztek, a może już złudzeń niezależności, które sprawia, że właściwie ciągle stoi naprzeciw władzy i już wyklaszczony z wszelkich praw /o jakie chodzi prawa? "o prawa jakoby niezbywalnej wieczne. Takich praw przecież nie ma. Choć owszem - jest jedno i ono więze dziś wszystkich patriotów: niezbywalne prawo każdego Polaka do uczestnictwa w rozwijaniu naszego kraju, w pokonywaniu kolejnych przeszkód na drodze tego rozwoju, słowem / w realizacji programu VI i VII Zjazdów partii." //, uzurpuje sobie to jedno: by władzę obarczać odpowiedzialnością za wszystkie niepowodzenia i niemożności.

Celem kampanii jest skierowanie jego frustracji, którą rodzi beznadzieja, zękanie i irytacja będąca treścią naszego dnia powszedniego - na innych obcych, młodszych, tych, którzy, niemożności nie chcą się poddać. A jego całej aktywności - na prywatne poletki rodziny, kariery, rat za Fiata. A nade wszystko zmuszenie go, by to, co określa słowem "oni", objął słowem "my", by się utożsamiał z władzą i zredukował do jej celów i dążeń.

Do tego właśnie organizatorom kampanii potrzeba jest Polska.

Patrytyzm, wedle najprostrzej wykładni, oznacza wszak uznanie ojczyzny za wartość nadrzędną, która godna jest wszelkich poświęceń i wyrzeczeń. Trzeba więc dokonać jednego tylko zabiegu za pomocą żonglerki obrotami i kontekstami wprowadzić znaczeniową tożsamość słów Partia-Państwo-Polska. Każdy z trzech członków tej zbitki dominuje w określonej sytuacji. Partia - gdy podlicza się sukcesy /te zawsze są jej zasługą, błędy i niedociągnięcia są dziełem ludzi/. Państwo jest szafarzem dóbr, choć w trudnych warunkach wygodniej zastąpić je w tym Polską /"dała im wszystko"/. Ona

jest egzekutorem obowiązków, ale przede wszystkim jest tarczą, za którą Partia i Państwo znikają natychmiast, gdy podnosi się fala niezadowolonia i głosy krytyki. Manipulowanie patriotyzmem nie kończy się na degenerowaniu języka, na czynieniu go niestosownym do krytyki rzeczywistości politycznej. Wymów ofiarności i poświęcenia, jakie to pojęcie zawiera, wykorzystuje się do narzucenia społeczeństwu własnego programu pozytywnego, a jest nim owo "jedno niezbywalne prawo" Misiornego - prawo do przelewania potu w rytmie partyjnych uchwał i planów. No cóż, nie jest to program porywający. Lecz tu w sukurs przychodzi ów kompleks polskiego prowincjonalizmu, poczucie niepełnej wartości, które czyni Polaków niezwykle uczulonymi na opinię o sobie. I wystarczy propagandzie wskazać zagrożenie - za granicą szkalują Polskę! - by mieć nadzieję na emocjonalny odzew: źle o nas mówią! - O właśnie. "O nas" - nie "o nich". To jest to miejsce. Tu ma się dokonać redukcja do bezwolnej zbiorowości złączonej urażoną ambicją narodową. Tu ma się pojawić paraliżujące słowo "my" wspólne dla rządzących i rządzonych, wspólny wróg i wspólny cel - spokój i dyscyplina.

I podobnie, jak płaska frazeologia patriotyczna ma doprowadzić do ubezwłasnowolniającej identyfikacji z władzą, tak i cechy identyfikację tę gruntujące - dogmatyzm umysłowy, ksenofobię, atomizację, dorobkiewiczowską mentalność - zaszczenia się budząc destruktcyjne emocje społeczne.

W jakim stopniu udaje się k a m p a n i i osiągnąć założony skutek - taką, jak rysująca się tu, degenerację świadomości zbiorowej? To pytanie wypadnie pozostawić na razie bez odpowiedzi.

Anna Chmielewska

- 1/ Dziennikarze o prasie. Miesięcznik Literacki, 1975, nr 2
- 2/ Bohdan Roliński: Miał to być diament. Życie Warszawy 8-9.I.77

- 3/ Marek Jaworski: Przeciw socjalizmowi - przeciw Polsce. Trybuna Ludu 2I.II.1977
- 4/ Dominik Horodyński: Ekshibicjonizm polityczny. Trybuna Ludu 27.V.1977
- 5/ Anna Kłodzińska: Mistyfikacja i boczne wyjście. Życie Warszawy I.VI.1977
- 6/ J.Szczepański: Inteligencja i społeczeństwo. Warszawa 1957
- 7/ Kira Gałczyńska: Rzecz-pospolita Polaków; rozmowa z Edmundem Osmańczykiem. Trybuna Ludu 7.I.1977
- 8/ Marek Jaworski: Przeciw socjalizmowi - przeciw Polsce. Trybuna Ludu 2.II.1977
- 9/ Życie Warszawy 28-29.V.1977
- 10/ Alfred Łoś: Płakały ale broniły. Polityka 17.VII.76
- 11/ B.Roliński: Wszystkie antony na Polskę. Życie Warszawy 28-29.V.1977
- 12/ Marek Jaworski: Wobec państwa. Rozmowa z profesorem Marianem Wojciechowskim. Trybuna Ludu 17.XII.1976
- 13/ Michał Misiorny: Obowiązek i odpowiedzialność. Trybuna Ludu 2I.VII.1977

O JOSIFIE BRODSKIM

I

Dnia 18 lutego 1964 roku w pewnej sali sądowej doszło do dialogu:

Sędzia: Gdzie pracowaliście?

Oskarżony: W przemyśle, w ekspedycjach geologicznych...

Sędzia: Jak długo pracowaliście w przemyśle?

Oskarżony: Rok.

Sędzia: W jakim charakterze?

Oskarżony: Jako frezer.

Sędzia: A w ogóle jaki jest wasz zawód?

Oskarżony: Poeta. Poeta-tłumacz.

Sędzia: Akto ustalili, że jesteście poetą. Kto was przyjął w szeregi poetów?

Oskarżony: Nikt. A kto mnie przyjął w szeregi ludzi?

Sędzia: Czy uczyliście się tego?

Oskarżony: Czego?

Sędzia: Jak być poetą. Czy nie próbowaliście uczęszczać na uniwersytet, gdzie dają wykształcenie... gdzie uczyć...

Oskarżony: Ja nie myślałem... nie sądziłem, że można to osiągnąć przez wykształcenie.

Sędzia: A przez co w takim razie?

Oskarżony: Myślę, że to... od Boga...

Ujawnijmy miejsce i osoby dramatu. Rzecz dzieła się w sali Sądu Rejonowego w Leningradzie. Funkcję sędziego sprawowała niejaka towarzyska Sawioliewa - postać, o której wiemy niewiele, której jednak na podstawie powyższego dialogu nie sposób odmówić miana prawdziwego człowieka radzieckiego. Oskarżonym był Josif Brodski: dziś uznawany wprawdzie przez wielu za najwybitniejszego poetę Rosji, ale wtedy - młody człowiek, nie znany prawie nikomu, a obwiniony o "pasocytyzmo", czyli - jak to określała formuła wyroku - o niewypełnianie "określonego przez konstytucję obowiązku uczciwej pracy dla dobra Ojczyzny i zapewnienia sobie osobistego dobrobytu".

Trzeba przyznać - protagoniści dość niepozorni. A przecież cytowany tu dialog ma historyczną wagę: to jeden z punktów zwrotnych w dziejach emancypowania się rosyjskiej literatury. To dialog, którego symboliczna ważność równa jest zapewne znaczeniu słynnej rozmowy Puszkina z Mikołajem I, albo nie mniej słynnej pogawędki telefonicznej Stalina z Pasternakiem. Rzecz jasna, towarzyszkę Sawieliewą trudno stawiać w jednym rzędzie z carem czy dyktatorem: szczeble władzy są tu różne. Ale istota władzy jest ta sama. I ten sam jest w każdej z trzech historycznych rozmów stosunek reprezentanta władzy do reprezentanta sztuki słowa. Car, proponujący poecie Puszkiniowi, że sam będzie cen-zurował jego wierzę, Stalin, gnójący fizycznie poetę Mandelsztama i próbujący zgnoić moralnie jego przyjaciela, poetę Pasternaka, towarzyszką Sawieliewą, skazująca poetę Brodskiego na przymusową pracę w sowchozie - wszyscy troje, różnymi co do brutalności, dają wyraz aksjomatycznemu przekonaniu, że poeta jest własnością państwa, podobnie jak własnością państwa jest każda jednostka. I że państwo ma prawo dowolnie roz-porządzać twórczością, sumieniem, nawet życiem poety - ale wyłącznie ono, państwo, decyduje o tym, kto j e s t poeta, a kto nie.

Brodski nie był pierwszym poetą rosyjskim, który przeciwstawił się temu pogładowi. Ale był z pewnością pierwszym po epoce stalinowskiej, którego "non serviam" zostało wypowiedziane tak szczerze i jawnie: może nie-smiało, ale jako oczywistość, która w ogóle nie pod-lega dyskusji. Po powieczu bezustannej tresury umysłów i sumień - zjawił się poeta, który miał czelność stwierdzić przed sądem państwa, że dar poetycki nie pocho-dzi z państwowego przydziału. To rozbrajające swą pro-stotę stwierdzenie ma w sobie siłę historycznego prze-łomu.

II

Faktem jest, że Brodski od początku swego świadomego życia nie bardzo się nadawał na wzorowego radzieckiego obywatela. Urodzony w r. 1940, rzucił szkołę w wieku lat 15, uważając, że niczego interesującego się tam nie nauczy. Zarabia na życie dorywczą pracą

fizyczną, a jednocześnie jako samouk zdobywa stopniowo coraz rozleglejsze wykształcenie: pochłania dostępną sobie literaturę piękną, dzieła filozoficzne i religijne, uczy się na własną rękę języków obcych /angielskiego i polskiego/. Wkrótce sam zaczyna pisać i tłumaczyć: jego przekłady, zwłaszcza z angielskich poetów metafizycznych i współczesnej liryki polskiej /m.in. z Gałczyńskiego/, zyskują sobie najwyższe uznanie autorytetów. Jako poeta jest Brodski przed r. 1964 mniej znany: udało się mu do owego czasu opublikować zaledwie kilka wierszy. I w tej dziedzinie jednak jego dokonania ślądzone były wtedy z uwagą i nadzieją przez grono rówieśników i starszych mentorów z leningradzkiego środowiska literackiego /bardzo wysoko ceniła Brodskiego m.in. Anna Achmatowa/.

Cios, który spada na poeę, jest najzupełniej nieoczekiwany, choć i zarazem - w pewnym sensie logiczny. 29 listopada 1963 r. w gazecie "Wieczernij Leningrad" ukazuje się felieton pt. "Trutén z marginésów literatury". Widnieją pod nim podpisy trzech osób, ale w dalszym ciągu sprawy główną rolę odegra jedna z nich: niejaki Lerner, były kapitan KGB, artykułik, przedstawiający Brodskiego jako cynicznego i rozwiązłego pasożyta, operował wyłącznie oszczerstwami i fałszywymi danymi - nawet wiek poety podwyższono o kilka lat. Nie pomogły liczne listy do redakcji, w których przyjaciele Brodskiego wzięli go w obronę, podkreślając jego wysoki poziom moralny, szlachetny tryb życia i pracowitość; nie pomogło i to, że Lernerowi udowodniono fałszerstwa, m.in. przypisywanie zaatakowanemu cudzych wierszy i tendencyjne przekręcanie cytatów. Obrótny donosiciel umiał dotrzeć, gdzie trzeba: do rajkomu partii, do KGB, wreszcie - do sekretarza leningradzkiego oddziału Związku Pisarzy Radzieckich, znanego poety Aleksandra Prekofiewa. Już w dwa tygodnie po ukazaniu się felietonu donosu odpowiednio dobrany skład zarządu tegoż oddziału podejmuje decyzję o oddaniu Brodskiego pod sąd za pasywny tryb życia. Wnioskowi towarzyszy odpowiednia charakterystyka, w której twórczość młodego poety awansuje już do rangi "antyradzieckich i pornograficznych wierszydeł".

Następuje kolejny akt leningradzkiej tragifarsy. 13 lutego 1964 Brodski jest aresztowany na ulicy

jako "pasożyt, uchylający się od rozprawy sądowej" /żadnego wezwania do sądu wcześniej nie otrzymał/. Sąd odrzuca prośbę obrońcy, aby jego klient odpowiadał z wolnej stopy. W trakcie procesu występują licznie i wiarygodni świadkowie obrony, m.in. wybitny znawca teorii przekładu, prof. Etkind /obecnie na emigracji/, nadchodzą też telegramy od K.Czukowskiego, S.Marszaka, D.Szostakowicza: wszyscy jednogłośnie podkreślają ogromny talent poetycki i translatorski oskarżonego. Na próżno; wyrok najwyraźniej zapadł, zanim jeszcze towarzysza Sawieliewa wraz z ławnikami weszła na salę. Samą salę zresztą, jak to zwykle bywa w takich wypadkach, w większości zapełnia dobrana publiczność, wyrażająca gniew ludu okrzykami: "wszyscy pisarze to paszyci!", "Wszystkich by ich przegnać z Leningradu!" itp. Oskarżyciel społeczny Sorokin swoje przemówienie konstruuje przeważnie z obelg, którymi obrzuca nie tylko oskarżonego, ale i świadków obrony: głównym materiałem dowodowym są dla niego cytaty z dziecięcych dziełników Brodskiego, nie mające żadnego logicznego ani prawnego związku z aktem oskarżenia. Odważne przemówienie obrońcy nic nie pomaga. Sąd skazuje poetę na pięć lat robót przymusowych, wyrażając przy okazji potępienie pod adresem broniących Brodskiego literatów /uż wkrótce gorliwy A.Prokofiew rozpocznie na tej podstawie rozróbkę w swoim oddziale Związku Pisarzy, posługując się zresztą sfałszowanymi stenogramami zeznań świadków obrony/.

Do dnia 22 marca Brodski trzymany jest w więzieniu; następnie w towarzystwie kryminalistów zostaje wyprawiony etapem na północ, do obwodu archangielskiego. Tutaj w jednym z sowchozów poeta podejmuje "uczciwą pracę dla dobra Ojczyzny" przy rozwożeniu nawozu^{x/}.

Nie jest to jednak koniec całej historii. Przyjaciele Brodskiego starają się nadać jej rozgłos i wkrótce w zachodnich czasopismach ukazują się notatki z procesem, dokonane przez pisarkę Frydę Wigdorową.

x/ Realia "sprawy Brodskiego" czerpię głównie ze wstępu Gieorgija Stukowa do tomu: I.Brodskij, Stichotworienija i poemty, N.York 1965.

"Sprawa Brodskiego" staje się głośna, więcej: symboliczna. Jest rok 1964, nadzieje na odwilż kulturalną, tak silne tuż po dojściu do władzy Chruszczowa, słabną coraz bardziej. W tej sytuacji rażąca niesprawiedliwość leningradzkiego procesu otwiera do końca, czy wielu naiwnym: choć nie wiedzą oni jeszcze, że na horyzoncie majaczy już widmo następnego procesu - Daniela i Si-niawskiego. KGB podejmuje oczywiście kontratak propagandowy: w listopadzie 1964 powiadamia korespondentów zagranicznych w Moskwie, że Brodski został przedterminowo zwolniony i wrócił do Leningradu. Wiadomość okazuje się jednak typową "fałszywką". Brodski przebywa na zesłaniu jeszcze rok, po czym dopiero starania przyjaciół w kraju i za granicą przynoszą w postaci zwolnienia.

Dalsze kolejności poety odnoszą się już do epoki breżniewowskiej, kiedy to ważniejszym niż "pasożytnictwo" motywem oskarżeń wobec Brodskiego stała się kwestia jego żydowskiego pochodzenia oraz publikowanie utworów za granicą. Wraz z wieloma innymi pisarzami i intelektualistami, których exodus przypada na te lata autor "Wielkiej elegii dla Johna Donne'a" zostaje w roku 1972 zmuszony do opuszczenia ojczyzny. Obecnie przebywa na jednym z uniwersytetów amerykańskich: wykłada, tłumaczy, a przede wszystkim - pisze wiersze. Wiersze, którym radzieckie władze po dziś dzień nie mogą wybaczyć ich autora: nie tak dawno aresztowany został przyjaciel Brodskiego, którego jedyną winą było, iż wiersze te zbierał i układał z nich tom zbiorowy dla "samizdatu".

III

"Sprawa Brodskiego" przypomina wcześniejszą o dokładnie trzydzieści lat "sprawę Mandelsztama". Nie zakończyła się - na szczęście - tak tragicznym finałem: jej przebieg jest o tyle łagodniejszy, o ile "liberalniejsza" jest era chruszczowsko-breżniewowska od tego apogeum terroru, za jakie wypada uznać stalinowskie lata trzydzieste. Podobieństwo nasuwa się raczej przy próbie odpowiedzi na pytanie: "Oco właściwie poszło?". I Mandelsztam, i Brodski to poeci w gruncie rzeczy apolityczni /wiersz Mandelsztama o Stalinie był przecież tylko pretekstem do aresztowania,

które i tak miało nastąpić/. Czymże się właściwie narazili wszechpotężnemu totalnemu systemowi ci dwaj nadwrażliwi, utalentowani, kochający poezję i żyjący tylko poezją ludzie? Komu i czemu szkodziło ich słęczenie nad "Boską Komedią" i Johnem Donne'm? Czy nie można ich było po prostu zostawić w spokoju?

Kiedy właśnie o to chodzi, że nie było można. Logika totalitaryzmu jest nieubłagana. Niszczy on nie tylko swoich autentycznych przeciwników i nie tylko ludzi, których podejrzewa o to, że takimi przeciwnikami dopiero mogą się stać; niszczy nawet tych, którzy - choćby z racji temperamentu - naprawdę stoją z boku; i nie przyłączają się, nie oklaskują, nie wiwatują tylko dlatego, że ich to po prostu nie interesuje. "Kto nią jest z nami, jest przeciwko nam". Sentencja okrutna, ale z punktu widzenia dyktatorów nie pozbawiona praktycznej słuszności. Rzeczywiście: ci, którzy posiadają tyle siły i odwagi, aby się przynajmniej nie przyłączać i nie oklaskiwać, dają tym dowód takiego stopnia jednostkowej niezależności, który dla totalitarnego systemu jest już niebezpieczny. Albowiem, jak słusznie pisze Solżenicyn /w "Zit'nie po łzi"/, system ten upadłby w jednej chwili, gdyby znalazło się dostatecznie wielu takich, którzy umieliby po prostu odmówić współdziałania w masowym kłamstwie, będącym główną podporą totalnej władzy.

Toteż nie bez racji stwierdzili po procesie Brodskiego jego przyjaciele, że na rozprawie tej osądzono "zawód pisarza jako taki". Nie chodziło przecież tylko o naganny w radzieckiej rzeczywistości brak etatowego zatrudnienia. Chodziło o nadmierną niezależność pisarza, niezależność od instytucji, od "należalstwa", od państwa. Proces miał być przestrożą - nie tyle pod adresem niezatrudnionych nigdzie "masożytych", co pod adresem niepokornych pisarzy. Powróżny, niepokornych nie tylko w sensie politycznym /jak te będzie już widać w odniesieniu do Daniela i Siniawskiego, a potem tylu innych twórców/. Również najogólniejszym planie moralnym, w którym niepokorność polega na samym tylko uświadomieniu sobie podstawowego faktu, że istnieją wprawdzie rzeczy należne Cezarowi i należne Bogu, ale że talent i sumienie

pisarza na pewno nie poczną z cesarowego nadania i jako takie nie są Cezarowi należne. "Myślę, że to od Boga". Nie trzeba być pisarzem jednoznacznie zaangażowanym po stronie politycznej opozycji, aby dojść do takiego wniosku. I dlatego nie tylko liberalne nastroje literatów, ale samo istnienie literatury jest zawsze będzie czymś, co spędza sen z powiek dyktatorom.

IV

Dajmy jednak spokój biografii Brodskiego i powiedzmy parę słów o jego twórczości. Trzeba zacząć od podstawowej konstatacji: na tle współczesnej liryki rosyjskiej jest to poezja uderzająca swą odrębnością. Nie tylko nie ma nic wspólnego z poetyką Jewtuszenków i Wozniesińskich, ale na dodatek niezmiernie trudno wyszukać jej antenatów w poprzednich pokoleniach. Mandelsztam? Zabołocki? Mogé może, ale tylko w planie najogólniejszym, w przywiązaniu do klasycznego nurtu tradycji: bezpośrednio bliźniaczej prawie nie da się tu stwierdzić. Można by powiedzieć, że poezja rosyjska w wieku XX operuje dwoma zasadniczymi - żeby tak się wyrazić - typami dykcji: dykcją pieśniarską-liryczną /linia Jesienina/ i deklamacyjno-retoryczną /linia Majakowskiego/; każda z osobna wiąże się z określonymi "sytuacjami wykonawczymi" i określonymi stylistykami. Otoż Brodski jest równie daleki od pierwszego, jak i od drugiego typu. Jego dykcję poetycką można by określić jako intelektualnie-dyskursywną: chodzi mu nie tyle o stworzenie liryczno-muzycznego nastroju lub retoryczno-agitacyjnego efektu, co o takie skonstruowanie utworu, aby był przede wszystkim ciągiem zderzających się nawzajem ze sobą idei i conceptów. /Dlatego też jest to bodaj jedyny z wybitnych współczesnych poetów rosyjskich, którego wierdzo nic nie traci w c i e h y m czytaniu - podczas gdy teksty zarówno "pieśniarzy" jak "retorów" poźnię wyrazu uzyskują z reguły dopiero przy głosnej lekturze./ W tym sensie Brodski więcej chyta zawdzięcza metafizycznej poezji angielskiej XVII wieku niż swojej tradycji rodzimej.

Nie znaczy to z kolei, aby jego poezja była - jak by to zapewne chętnie określili jej przeciwnicy - komopolityczna i ahistoryczna. Brodski należy do tych

poetów, którzy - aby posłużyć się sformułowaniem Miłobą - wiedzą, że "co cenne i wieczne, realizuje się tylko poprzez doczesne i tymczasowe". Jego najlepsze wierdze /pomijam i rodzienne próby podpierania się antyczną mitologią/ wyrastają z konkretnego, osadzonego w określonym czasie i miejscu, doświadczenia - i dopiero na jego podstawie budują metafizyczną czy historyzoficzną wizję. Poemat "Postój na pustyni" rozpoczyna się drwiącym, reportażowym wręcz opisem burzenia greckiej cerkwi w Leningradzie, aby pod koniec doporo postawić serię ogólniejszych pytań:

Dziś w nocy siadzę, spoglądając w okno,
i myślę - dokąd doszliśmy tymczasem?
Od czego bardziej jesteś dalecy:
od prawosławia czy od hellenizmu?
Czemu jesteśmy bliscy? Co przed nami?
Czy nas nie czeka odtąd nowa era?
Jeśli tak - w czym nasz wspólny obowiązek?
I co winniśmy:łożyć jej w ofierze?

Podobnie poemat "Dwie godziny w rezerwuarze" /błyskotliwy popis makaronicznej humorystyki językowej, rzecz bowiem, traktująca o Fauscie, obfituje we wtrącone wyrażenia niemieckie i pseudoniemieckie/ tylko z pozoru dotyczy ponadczasowego faustowskiego mitu: decyduje tu konkretyzujący się stopniowo punkt widzenia narratora, którym okazuje się człowiek współczesny, i to współczesny Rejzjanin. Nawet w takich utworach jak słynna "Wielka legia dla Johna Donne'a" punkt widzenia jest stały, konkretny i historyczny, choć przeniesiony w odległą przeszłość. Brodskiego interesują - to prawda - generalne problemy egzystencji ludzkiej: miłość i śmierć, krótkotrwałość życia i użytek, jaki człowiek z niego robi, miejsce gatunku ludzkiego na granicy świata natury i świata kultury, sens i absurd naszego bytowania na Ziemi. Nie bez powodu dał swoim wydanym z granicą wierszom motto z "Króla Leara":

... Men must endure
Their going hence, even as their coming
hither
Ripeness is all.

• Ale owe generalne problemy obserwowane są, powtórzmy to raz jeszcze, w tym konkretnym ucieleśnieniu, jakim jest pojedynczy los człowieka: czy będzie nim biblijny Izaak /w poemacie "Izaak i Abraham"/, czy angielski poeta sprzed trzech stuleci, czy wspomniany po latach kolega z dzieciństwa /cykl "Antologia szkolna"/. Wiersze Brodskiego przy całej swojej metafizycznej głębi i intelektualnym skomplikowaniu, kipią od materialnego, życiowego konkretności: w jeszcze większej bodaj mierze dotyczy to poematów powstałych na emigracji, w których dodatkowym źródłem poetyckich napięć staje się sytuacja przybysza ze Wschodniej Europy "wrzuconego" w świat amerykańskich realiów.

To jedna cecha, która decyduje o swoistości "klasycyzmu" Brodskiego. Drugą jest skłonność do ironii. Podobnie jak u nas Miłosz czy Herbert /choć dość odmienną metodą/ Brodski demonstruje swój świadomie ironiczny stosunek do tradycji kulturalnej: jako człowiek współczesny czuje się zmuszony jednocześnie odwoływać się do niej /dyż to pozwala mu odbudować zachwiane poczucie wiary w możliwości ludzkiego gatunku/ i przeciwstawiać się jej /gdyż doświadczenia historii unaoczniają mu niewspółmierność tradycyjnych wizji natury ludzkiej z zachowaniem człowieka w sytuacjach krańcowych/. Stąd właśnie ironia, wynikająca z uświadomienia sobie myślowej sprzeczności. Brodski starannie oddziela tę postawę od - ileż łatwiejszego - powierzchownego "sarkazmu", który jest w jego oczach postawą jałową i niewiele wyjaśniającą. "Zarażony klasycyzmem jasnym", zdaje sobie sprawę, że "nie da się sarkazmem osiągnąć życia": nie da się, gdyż sarkazm nie potrafi przezwyciężyć najważniejszej tajemnicy życia, jaką jest - śmierć /cytaty z wiersza "Pewnej poetce"/. Innymi słowy, sarkazm jest narzędziem poznania niesprawnym, gdy w grę wchodzi podstawowe zagadki i paradoksy, z jakich składa się nasza egzystencja. Jedyną godną człowieka postawą jest tu akceptacja faktu istnienia tych zagadek, akceptacja paradoksalnego charakteru życia: to właśnie owa szkopiowska "dojrzałość, która jest wszystkim". Można by ją nazwać jeszcze inaczej: wiarą. Ale wiarą paradoksalną, która wynika z dostrzegania sensu w egzystencji ludzkiej pomimo pełnej świadomości wszystkich jej

Ograniczeń:

Test mistyka, Jest wiara. I jest Pan nasz.
Wszystko to razem rzecz różna. I jedna.
Dla jednych błądźlą, dla innych - hosa
Niewiara ślepa jest. A częściej - wredna.

Bóg w dół spogląda. Ludzie w górę. Słowem;
patrzają na życie nie z tej samej strony.
Bóg organiczny jest. Wiśnie. A człowiek?
A człowiek - można rzecz - ograniczony.

/Dwie godziny w rezerwarze/

Zauważmy rzecz bardzo istotną: wiara posiada
je tu oddzieloną od mistyki. Dostrzeganie sensu
w egzystencji możliwe jest bowiem - zdaniem
Brodzkiego - tylko wtedy, gdy traktujemy je w
kategoriach "zadania duchowego" dla nas samych
zadania czekającego nas tu, na ziemi:

Są to prawdziwe duchowe zadania.

A mistyka - to tylko nieudana

próba sprostania im. Und ich bin zdanie,

że nie ma sensu rzucać słów na wiatr.

/tamże/

Dochodzimy więc do punktu wyjścia do uzasadnienia
zaobserwowanej przez nas na początku skłonności Brod-
zkiego do posługiwania się namacalnym i historycznym
konkretem. To jednak nie wszystko. Z tej swoistej filo-
zofii poetyckiej wynika logicznie, choć nie bezpośred-
nio, określona koncepcja poetyckiego języka. Mischel
do "mistyki" reprezentowana jest w niej przez nasyce-
nie stylu konkretnymi nazwami, przez unikanie alegorii
/jeśli pominąć niektóre wiersze z najwcześniejszego o-
kresu/, nieraz przez reportażową wręcz dosłowność języ-
ka / jak w dłuższym poemacie "Nedykowane X Jalcie" czy w
"Antologii szkolnej"/. Tropienie metafizycznych zagadek
znajduje swoje odbicie w skłonności do paradoksu i anty-
tezy / tutaj szczególnie Brodzki okazuje się pojetycznym
ucznikiem siedemnastowiecznych Anglików/. I wreszcie,
rzecz może najbardziej charakterystyczna: jakby w wewnętrznej
opozycji do nurtu "reportażowej dosłowności",
reprezentowanego przez niektóre poematy, rozwija się

w twórczości Brodskiego dokładnie przeciwstawny nurt kunsztowności i komplikacji stylistycznej. Zderzenie klasycznego poczucia sensu z dociekliwą ironią daje w płaszczyźnie stylu misterne efekty, polegające na maksymalnym podporządkowaniu struktury wiersza pewnej mączelniczej zasadzie przy jednoczesnym podkreśleniu umowności tej zasady. Przyjęcie, np. okrośloonej zasady rymowania łączy się /jak w wierszu "Dawnej poecko" lub poemacie "1972"/ z tak ostentacyjnym wyokspowaniem i pogłębieniem rymu, że staje się on w każdym wypadku niemalże samodzielnym kalamburem. Dzieje się tak, jakby Brodski powiedział: świat jest absurdalny, ale aby w ogóle na nim żyć, trzeba założyć, że ma to jakiś sens; analogicznie i język - odbicie świata - jest absurdalny, ale właśnie dlatego trzeba go maksymalnie zorganizować, podporządkować aż do krańcowości, powymiarować z góry założonym regułem, nie zmieniającym się nawet na przestrzeni olbrzymich rozmiarów poematów. Stąd właśnie obfitość wszelkich takich środków stylistycznych - wielokrotnych i głębokich rymów, paronomazji, kalamburów, skomplikowanej strofiki itp. - które usiłują narzucić bożładowi języka strukturę uporządkowaną, opartą na rzekomych pokrewieństwach, wzajemnościach i symetriach. Brodski demonstruje tu niejednokrotnie prawdziwą mądrość stylistyczną, która tłumaczowi jest w stanie przysporzyć ciężkich zgrzyot, ale i wielkich nieraz satysfakcji. Najlepszym dowodem tego ostatniego jest fakt, że ten trudny poeta miał w Polsce tak wielu tłumaczy /A. Drawicz, S. Pollak, E. Siemaszkiewicz, W. Wirpsza, W. Woroszyński i inni/.

V

Piszę te słowa, gdy Josif Brodski ma lat 37 i jest - jak można wedle wszelkich oznak sądzić - w apogeum swego twórczego rozwoju. Na podsumowania więc za wcześnie. Każdy rok przynosi dziesiątki nowych utworów poety, publikowane w wychodzących na Zachodzie czasopiśmiech rosyjskich. Emigracja nie osłabiła jego aktywności i nie spotała twórczego rozmachu. Jak w archaickim sowchozie, tak i na amerykańskim uniwersytecie Brodski pozostaje sobą, poetą, którego nic nie jest w stanie odciągnąć od obranej drogi.

Josif Brodski

W I E R S Z E
ZE SMUKIEM I CZUŁOŚCIĄ

A. Gorbunowowi

Znów na kolację był makaron z wody,
i ty, Mickiewicz, nie tknąłeś go prawie,
mówiąc, że dzisiaj nie czujesz się głodny,
Więc bez obawy, że w naszej postawie
pielęgniarz zwęszy ślady kramarności buty,
po małej chwili udałem się też
do ubikacji. Za oknem był zmierzch.
"Zawsze jest najpierw styczeń, potem luty.
A po nim marzec." Urywki rozmowy.
Lśnił kafli blask porcelanowy
i dźwięcznie kapał kran zepsuty.

Mickiewicz leżał - już z ustępu wrócił -
i wlepiał wzrok w pomarańczowy drucik
żarówki. /Może widział tam swój los/
Pielęgniarz wyszedł za drzwi, wywołany
na Basanową. Wyłączyłem w noc
teletewizor słyszącem zza ściany.
"Aż no, Gorbunow - zupełnie jak ogon."
"A tam znów oko." "A widzisz tuż obok
narodził nad progiem?" "Widzę - całkiem niby
wrzód". Tak to, przez nie myte szyby
gapiąc się w luty ma gwiazdziste Ryby,
wzniośliśmy w niebo kłyszające czoła,
tam, gdzie pod nogi pluć - to zwykła rzecz,
gdzie czasem rybę na stół dadzą, lecz
nie ma widelców ni noży na stołach.

1964

PEWNEJ POETCE

Ja zarażony jestem klasycyzmem.
Panią zaś tknęła zaraza sarkazmu.
Cóż łatwo przejść na grymaszeń płaszczyznę,
gdy cecdzień biuro a nad głową szef.
Pani lubiła nasz wiek zwać żelaznym.
I nawet człowiek nie pcczuł ni razu,
żo, zarażony klasycyzmem jasnym,
po ostrzu noża bezustannie szedł.

Dziś już przyjaźni naszej widać krańce.
Odtąd się zaczęła wzajemne protensje.
Przeszkodą w pani służbowym awansie
już tylko Bachus będzie, tylko on.
Mój wzrost na niwie zacząwszy, zakończy
w tym samym stadium. Zastygłem nie więcej
niż Herkulanum w lawie twarzonej.
Dla pani nie drgnie nawet moja dłoń.

Dość porachunków. Trnoszę dziś niewolę.
Na sianie sypiam i jedam niewiele.
Na znanym pani złodzieju nie gore
dośćatnia czapkę, lecz żysiny krąg.
Ja, epigońska papuga. Gniewała
pani się na mnie, wołąc nic nie wiedzieć.
Lecz kiedy wyrok prawa mnie zniewalał,
dobiegł mnie odgłos pani wieszczych klątw.

Służba bez wielu rzeczy wprost nie cierpi.
Sama zaś twórcę popędza i szarpie,
aż ten ze świętych swoich dreszczy czerpie
niezbłą pewność, że zeń prawie Bóg.
W natchnieniu jeden wieszcz sporządza raport.
Drugi swo żalę przelewa na papier.
A trzeci w pysku umie przynieść aport
oraz z talentem lizać pański but.

I powio śmierć, że nie da się sarkazmem
dosięgnąć życia. Przechodząc przez przyzmat,
sarkazm oświetli komórkową plazmę,
ale nie jądro -- to niestety fakt.
Służbę tak długi czas pełniąc przy Muzach,
ugrzazłem wreszcie w swoich klasycyzmach,
choć nogłem, tak jak misyt w Sarkakuzach,

z głębin cebrzyka spoglądać na świat.

Dość porachunków. Może to i słabość.
Po cóż ma pani sarkazm mnie oślepiać?
Żyje, odmienność swoją błogosławiąc:
bzyczące w górze oskarżenia oś
w skromnym rumianku budzą bojaźliwość.
Wiem bardzo dobrze, że przede mną przepaść.
I zawrót głowy mam, jakby w niej śnięło
kręciła jakaś nieugięta oś.

Oto szewc szyje but. Dla dzieci grzecznych
cukiernik ciastka piecze. Czarnoksiężnik
wertuje grube foliały. A grzosznik
dzień w dzień popoźnia jakiś nowy grzech.
Płyną delfiny przez morskie mielizny
i gdzieś Apollo patrzy niedosiężny
na bezgranicznie powierzchniowych bliźnich.
Ias szumi, z nieba niemo spływa zmierzcha.

Jesień nadchodzi. Już zeszyty wszędzie
tkwią w szkolnych toczkach. W nadchodzącym chłodzie
podobno pani czarownice przędzą
zwijają w kłębek, zapatrzona w dal.
Wspominam dawny epizod w Taurydzie,
zamiłowanie nas dwojga w przyrodzie.
Tędy, co się pleni dziko i obficie.
I ziwnie mi jest, i smutno, madame.

1965

MOTYL

I

Mam rzec, że jesteś martwy?
Lecz żyłeś tylko
dobę; smutne, motylku,
są Śwórcy żarty!
Słowo "żyć" pusto brzmi,
gdy kilka godzin
dzieli śmierć od narodzin,
i trudno mi
w jednej daty granice,

w ten dzień niedługi
wtłoczyć jedno i drugie -
i śmierć, i życie.

II

Bo dni są dla nas, żywych,
niczym. I tyle:
niczym. Dni nie przyszpilili
wzrok, by się żywić
ich barwą: one mkną
na swym tle białym,
niewidzialne, bez ciała,
ulotne. Są
jak ty; powiem inaczej -
dzień, pomniejszony
do trwania twej agonii,
czyż wiele znaczy ?

III

Mam rzec, że ciebie wcale
nie ma? lecz barwy
z twych skrzydeł się nie starły:
istnieją dalej,
jak istniały. Kto im
wciąż odpowiada,
jak mają się nakładać?
A ja, ze swym
gliniastym, ciężkim słowem,
z mową bezbarwną
jak mam dorównać farbom
palety owej?

IV

Na tnych rozwartych skrzydłach
 rzęsy, źrenice -
 dziewice piękności,
 ptaki, straszdyka?
 Czyja na tobie twarz
 sportretowana
 w przelocie? W cętkach, w plamach,
 jakimi trwasz
 martwymi naturami
 pośród żywiołów?
 Co w tobie tkwi: ryb połów?
 stół z owocami?

V

Może jesteś pejzażem?
 Może przez lupę
 dostrzęgę w tobie grupę
 ni f, plasy, plażę?
 Czy jasno tam, jak w dzień?
 czy mroki nocne
 panują? jakie słońce
 rozjaśni cień,
 gdy nad pejzażem wstanie?
 Jakie w nim chmury?
 I jakiej jest natury
 odwzorowaniem?

VI

Myślę, żeś jest zarazem
 i tym i owym:
 gwiazdą, głębiną, głową,
 rzeczą, pejzażem.
 Jakiż to złotnik siadł
 i, brwi nie chmurząc,
 w tobie jak w miniaturze
 wrył ten świat,
 gdzie wszystko oszalał,
 zwodzi i przeczy,
 gdzie tyś jest - myśląc rzeczy,
 a my - rzecz sama?

VII

Powiedz, czemu ten desień
 dostał się tobie
 na jedną tylko dobę,
 skoro trwa przestrzeń,
 odbita w rłęci wód
 wiecznie i wiernie?
 Tak krótki jest twój termin,
 że skrzydeł cud
 daremny jest: tak rzadko
 trzepoczesz w dłoni,
 lub umykasz pogoni
 zbieracza z siatką.

VIII

Nie powiesz mi niczego,
 lecz nie z przyczyny
 bojaźni ani winy,
 i nie dlatego,
 żeś martwy i żeś motyl.
 "ywe czy zmarłe,
 każde stworzenie marne
 na znak wspólnoty
 głos ma od Boga dla
 brzmienia, znaczenia :
 dla przedłużenia mgnienia,
 minuty, dnia.

IX

Tobie - nikt nie wypłacił
 cwej zaliczki.
 Lecz po cóż na nią liczyć?
 I z jakiej racji
 masz się znaleźć w rejestrze
 dłużników nieba?
 Nie smuć się: widać trzeba,
 abyś był jeszcze
 niemy, słaby i wczesny
 /ciężar słów - męczy/
 bardziej niż czas bezdźwięczny
 i bezcielesny.

X

Zbyt śmiertelny, by bać się,
 lekki, nieczuły,
 wlatujesz nad kopułę
 klombu, tak właśnie
 jakby ci uciec przyszło
 z zaduchu więzień,
 gdzie tkwią "było" i "będzie",
 przeszłość i przyszłość,
 i kiedy lecisz w dal,
 nad kwiaty pełne,
 jest tak, jak gdybyś formę
 powietrzu dał.

XI

Tak właśnie pióro czyni,
 mknąc po otwartych
 równinach śnieżnej karty,
 nie wiedząc, czyli
 z zapisanych stron
 sens czy nonsens powstaje -
 ono się tylko zdaje
 na mądrą dłoń,
 dłoń, w której palcach nieme
 słowo pulsuje,
 nie pył z kwiatów zdejmując,
 lecz z ramion brzemię.

XII

Takie piękno, z tak bliską
 śmiercią złączone,
 orze czoło zmęczoną
 bruzdą domysłu:
 trudno dowieść jaskrawiej,
 że - przyjacielu -
 świat stworzono bez celu,
 a je li nawet,
 to cel nie w nas jest, bracie
 Entomologu,
 ale w światku z mroku
 wiecznym kł. acie.

XIII

Pożegnać cię już, skoro
 giniesz z dniem razem?
 Są ludzie, których rozum
 pokrywa porost
 zapomnienia, lecz czy
 winni są sami?
 Wszak mają za plecami
 nie miękkich dni
 małżeńską pościel, i nie
 krok snu bez rojeń,
 i nie przeszłość - lecz twoje
 skrzydła jedynie!

XIV

Tyś jest bardziej niż Niczym.
 A raczej: jesteś
 widoczniejszy i przez to
 bliższy. Lecz wliczam
 cię do Nicości krewnych.
 Twoja śmierć wczesna
 Ją właśnie ucieleśnia,
 dlatego pewnie
 jesteś w zamęcie dnia
 gościem całej Nici,
 ty - przodajęta praktyka,
 co dzieje się "nic" ca "ja".

1972

W.G.

Ptaka już nie wpada przez lufcik. Zawzięciej
dziewczę certuje się z każdym zapieciem.
Gdy się pośliznę w ulicznym zamęcie,
nie padam już: tarcie rośnie,
gdy spada szybkość - fizyka poucza.
Wiewiórczym skokiem serce się porusza
w gałęziach żeber. Bierze mnie pokusa
zakrzyknąć: żegnaj, młodości!

Starzeje się! Nadchodzi wiek podeszły!
W żyłach strumienie krwi dawno podeszły
i coraz wciśniej stają podeszły
nóg niegdys żwawych. Niedeprze-
znosząc to wszystko, co działa na pięty
zmysł, plaster skrzętnie przyklepam na pięty
przeciw odciskom. Łowi słuch napięty
odległej łopaty pobrzęk.

Cóż! Nic już ciała nie robi różnicy.
Śmiało się, żkało. Wszystko po próżnicy.
Nic w jamie ustnej nie ofnie próchnicy,
odwiecznej jak grecki posąg.
Odór oddechu, oczu mgła kaprawa.
czystość zwierciadła męca. Mój karawan
daleko. Lecz przez drzwi przenika raban-
tych, co mnie wkrótce wyniosą.

W itajcie, młodzi, obcy! Już ciemnieje
bzyczenie czasu nad moim ciemieniem:
niczym szarańcza wokół ciemnieje
dni moich żarłoczne stado.
Zamęt pod spodem a pustki po wierzchu
czaszki... I tak już caryca w powietrzu
czuła Iwana - ja czuję po zmierzchu
cien śmierci, co na mnie pada.

114
Tak, czuję bojaźń. Kulę się w pościeli.
C dyby mnie nawet pociągi poczty
miażdżyć i w paski kołami pocięły -
trwałaby gra wyobraźni.
Jak kujon, wznosząc oczy znad stroniczek,
za okulary bierze czyjś staniczek -
tak ból-krótkowidz widzi ustawicznie
śmierć mglistą jak kontur Azji.

Wszystko, co mogłem utracić - traciłem.
do czysta. Ale tym się nie trapiłem:
gdzie los mi kazał trafić, tam trafiłem.
Niczego w życiu nie zmieni
w kukułczym głosie skryta przepowiednia.
Słucham jej w nocy, choć mi niepotrzebna:
z biegiem lat wzmacnia mi słuch, co poprzednio
zanikał pośród milczenia.

Tyle w tym ciele śmierci! Postradało
tyle już życia! Tak się postarzało!
nad czołem światło nimbu poszarzało
i w jasny dzień bije w oczy
czarny reflektor, co z mięśni wykrada
siły. Lecz wciąż mnie nie nęci wyprawa
na drugą stronę: ludziom nie wypada
wyręczać Pana w robocie.

Winna jest zresztą to ciągłe truchlenie.
Ten strach. Techniczne sprawy utrudnienie.
Cauc już w tym przyszłe zapachy trumienne:
rozkład narusza wpierswoję,
a im mniej woli, tym więcej bezwładu
/prawo statyki, składnik mojej bezładnej
wiedzy z lat szkolnych/. Więc wałam bezradnie:
bracia oczyście mi pole!

Byłem jak wszyscy. I żyłem podobnym
życiem. Z kwiatami i licem pogodnym
chadzałem w gości. Pijałem w sposobnym
czasie, blaznując. Co dali,
tam brał, przemocą nic nie chcąc odbierać.
Miałem swą dźwignię, punkt, by ją opierać.
Dźwiękiem fujarki chciałem świat opiewać,
lecz klamka spada... Co dalej?

Co wam powiedzieć, wrogowie i bracia?
 Nie w imię sławy był mój pot i praca
 w świecie, gdzie posłuch ma kino i prasa:
 nie w imię sławy - lecz słowa.
 Z przyczyny cwych kapłańskich narowów
 /jesteś lekarzem - lecz się sam w nagrodę/
 zrzekłem się miejsca przy stole narodu
 i o to sam mówię do was.

Mówię z daleka. Ciemno jest. I mgliście.
 Wiatr na dach ciska gałęzie i liście.
 Tak, jestem pewny: kiedyś rzeczywiście
 umrę tu, tracąc stopniowo
 włosy, sufiksy, zęby i przysłówki
 czerpiąc ocean, by z wodnej kryjówki
 wyłowić rybę surową.

Starzeje się! Nadchodzi czas wyznania
 prawdy. Wyzwania wobec nie? Wygnania.
 Czas wygrywania - ale do wygnania
 jest tylko ból, skoro jest. Krzyknę dopiero,
 gdy ponad miarę już zaczął doskwierać.
 Jeśli do twarzy mej ciepło dociera,
 to z krwi, nie z mózgu je czerpię.

Rozpacz? Być może, ale bez znaczenia.

Ta pieśń to skutek zdziwienia, Zmęczenia.
 To ściślej mówiąc - pierwszy krzyk milczenia,
 którego królestwo nieme
 jest sumą dźwięków, jakie powstawały
 w krtani wilgotnej niegdys, postarzałej
 dziś i jak martwa natura stężałej.
 To nawet lepiej. Tak miemam.

Otóż to - taki sens ma ten poemat:
 nie wzlot, nie otchłan, lecz próżnia pojemna
 u kresu czeka nas - i niepojęta
 przemiana ciała w rzecz nagą.
 To nawet lepiej. Rzecz nie zna obawy.
 Obce jej lęku cielesne objawy -
 słabość w kolanach, drżenie, pot chłodnawy,
 nawet gdy spada śmierć nagle.

Niczym Tezeusz, co głowę ocrapał
bestii i przestrzeń otwartą ogląda,
horyzont życia widzę - jak ogromny
minus na wszystkim, com przeżył.
Krecha, ostrzejsza niżli miecz, odcima
lepszą część życia. Tak ocet od wina
trzeba odróżnić bystrymi oczyma.
Smutno. Lecz łkać nie należy.

Raczej bij w bęben, głosząc, żeś zawierzył
owym nożycom, od których zależy
losz bytu. Śmierć im więcej ci zabierze,
tym bardziej zrówna cię z Bogiem.
/Jest to dewiza, którą bym polecił
równie kochankom nagim, jak poecie/
Bij w bęben, pęki nie puścisz pałeczek,
i z cieniem maszeruj w nogę.

grudzień 1972

Wiersze Josifa Brodskiego

przełożył Stanisław Barańczak

Jerzy Narbutt

REMANENT POLEMICZNY

Do zalet ZAPISU należy i ta, że można w nim polemizować z przyjaciółmi, nie obawiając się - jak to nieraz bywa, gdy się drukuje w prasie oficjalnej - że ułatwia się zadanie tym, którym by się niczego ułatwić nie chciało, że "kopie się kopanych" czy "atakuje atakowanych". A ponadto - w ZAPISIE można dopowiedzieć i uzupełnić to, czego uzupełnić i dopełnić nie pozwala cenzura rewolucyjna, czuwająca nad tym, by urazywało się i rozpowszechniało tylko to, co jej wygodne, nigdy zaś to, co niewygodne.

Z tej rowej sytuacji chciałbym skorzystać, po pierwsze, aby wyrazić swoją niezgodę z pewnymi тезami, jakie odczytałem w artykule Barbary Toruńczyk pt. "Późna i wojna", zamieszczonym w "ZAPISIE" nr 1, po drugie zaś, aby podjąć pewien zadawniony spór z Janem Józefem Szczepańskim i Stanisławem Stomą. Niezmiernie poważając wszystkich wymienionych autorów, rad jestem, że skoro powstały kontekst redakcyjny i publicystyczny dopuszcza prowadzenie dyskusji rzeczowej i swobodnej, bez lęku o uboczne skutki.

I

Była jesień roku 1942. Zaproszony na konspiracyjne zebranie dyskusyjne, nie bardzo wiedziałem, kto jest jego organizatorem. Było to przecież czas, kiedy nie należało zadawać zbyt wielu pytań, osoba zaś zapraszającego budziła zaufanie. Dziwiło mnie trochę, że chciano zapraszać tak młodych, ale zważywszy, że z wielu stron - i ze zrozumiałych powodów - polewano na młodych, szybko zrozumiałem i to. Młodzi, jak wkrótce ujrzałem, przeważali, natomiast starsi panowie - gospodarze i organizatorzy - mieli fizjonomie i zachowanie belfrów. /Ahi jednego wojskowego... - szepnął mi ten, który mnie wprowadził/. Duszą zebrania był właściwie jeden starszy pan, belfer bardzo typowy, który swą prelekcję zręcznie przerywał co jakiś czas i zamieniał dyskusję, by później znowu "trzymać głos" na wzór wykładu. W miarę słuchania coraz bardziej wydawało mi się, że śnię. No bo jakże za

ścianą, za oknami - ulica okupacyjnej Warszawy, pełna
zdrad i niebezpieczeństw, choć tak zadziorna i cwania-
cko-wesoła, jutro nie wiadomo czy nie zginie się od
przypadkowej strzelaniny ulicznej, albo nie "wsiak-
nie" w ulicznej łapance i nie wyląduje w obozie albo
pod ścianą, nie wiadomo skąd wziąć tyle sił, by prze-
trwać ten tydzień, ten miesiąc, drugi, czwarty, dzie-
siąty i przejść przez noc do upragnionego świtu - a tu
w zacisznym pokoju starszy pan o spokojnej twarzy bez
cienia fanatyzmu łeznuwa nam przed oczami miraż Wiel-
kiej Polski. Słyszeć o Polsce w i e l k i e j w dniach
jej pohańbienia i codziennego znieważania oraz na tle
powolnego jej biologicznego wywieszczania - to była rzecz
cudowna, można się było tym upić... Ale coś w tym obra-
zie raziło, zgrzytało, dziwiło /prelegent dawkował wszy-
stko powoli/. W głowie uparcie nękało nie chcące odejść
pytanie - "Co jutro jeść? Chleb kartkowy wydają dopiero
pojutrze" - a tu przed oczami rosło i pęczniało olbrzy-
mie, potężne, syte i władcze... co? Imperium Słowiańskie.
Zaraz, zaraz... O co tu chodzi? Czy o wolną federację
wolnych narodów i niezależnych państw w jakimś Środko-
wo-europejskim Bloku, który by mógł się wspólnie bronić
przeciw dwu zagrażającym im molochoom: niemieckiemu i ro-
syjskiemu - prowadząc wspólną politykę zagraniczną, uz-
gadniając militarną strategię i inicjując ożywozą wymia-
ną gospodarczą? Nic z tych rzeczy. To imperium miało być
p o l s k i e. Jak to? Więc wszystkie narody słowiańskie
pod egidą i rządem polskim? Z głupia frant zapytałem :
"Przepraszam - a Węgrzy? Przecież to nie są Słowianie, a
ich państwo leży na drodze do naszego złania się z Jugo-
sławią i Bułgarią". Otrzymałem najspokojniejszą odpowiedź
"Zajmie się część terytorium węgierskiego, by uzyskać z
południowymi państwami słowiańskimi, a Węgrów się wysie-
dli". Wiedziałem już wszystko. Totalizm.

Po wyjściu było czym myśleć. Oto jest drugie pohań-
bienie Polski, znieważanie jej może nawet gorsze od tego,
którego dopuszczają się Niemcy i Rosjanie: pohańbienie
Polski przez zdradę Polski w tym, co stanowiło jej charak-
ter i tradycję. Była to niejako zdrada "od wewnątrz", po-
legająca na zarażaniu jej bakcylem obcego nam totalizmu
Wizja Polski pczbawionej "ducha Polski" wydała mi się
nie tylko odstręczająca i upiorna - taka, z której, jak
z koszmarnego snu, chciałoby się najdalej uciec - ale nad-
całkowicie n i e d o r z e c z n a na tle ciemnej

jakie na Polaków spadały ze strony totalizmu hitlerowskiego i totalizmu komunistycznego oraz na tle śmiertelnego pojedynku połowy świata z totalizmem właśnie. Więc my, którzyśmy z takim trudem poderwali świat do obrony swobód przynależnych społeczeństwom złożonym z jednostek wyposażonych w niezwykłe prawa - my mielibyśmy te same swobody i prawa innych gwałcić? Zbrodnia - i bzdura zarazem.

"Jakie szczęście - myślałem - że grupa ta nie wyraża powszechnych w Polsce nastrojów, opinii, zamiarów i poglądów. Nie oni nadają ton, nie oni!"

Czy ma wszakże nadal rację Słowacki, wołając z emfazą: "Polsko - ciebie się żadna zaraza nie imie..!"

Chyba ma ją nadal. Bo wyjątek - myślałem - jest właśnie wyjątkiem. Bo nieliczna grupa jest nieliczną grupą. Owszem: "nieliczne grupy" potrafiły niekiedy obezwładnić społeczeństwa i narzucić im swą wolę. Ale nie chodzi w tej chwili o prężność i skuteczność działania nie liczących się z metodami, drobnych grup - bo to zupełnie inny problem - lecz o fakt: że pewne rzeczy są nam, Polakom, rzeczywiście obce, że ich nie chcemy. Kiedy więc ujmować przeszłość okupacyjną i podziemną Polski w sprawi edliwych poroporcjach - można z koncepcjami grupy związanej z "Konfederacją Narodu" w tym samym stopniu się nie liczyć, w jakim nie liczy się rozsądny historyk z tym, co dla analizowanego przezeń odcinka czasu okazuje się marginalem: opuszczenie nie jest uproszczeniem wtedy, gdy jest sięganiem tylko do tego, co typowe, co reprezentatywne.

Ucieszyłem się bardzo, gdy na pierwszej stronie artykułu Barbary Toruńskiej /ZAPIS nr 1/ natknąłem się na zdanie następujące: "Krań młodych publicystów zgromadzonych wokół SZTUKI I NARODU w żadnej mierze /podkreślenie moje - J.N./ pod względem ideowym i umysłowym nie był reprezentatywny dla całości podziemia". Powtarzam: bardzo mnie to zdanie ucieszyło, jako że w historiografii tego okresu, wciąż pełnej nieporozumień, niedopełnień i zafałszowań, nigdy dość nawoływania do stosowania właściwych proporcji - a tu właśnie w cytowanym zdaniu proporcje te zostały mocno zaznaczone. Lecz radość moja była króciutką. Oczy przecierałem ze zdumienia czytając dwa następne zdania tegoż akapitu. Przepraszam: czy Miła Au-

torka nie zauważyła, że w jednym akapicie przeczcy sama sobie? Aby sprzeczność tę ad oculos zwykłańca przedstawić, zacytowałam muszę cały wymieniony akapit. Jest niewielki i lapidarny - tyle tylko, że narabyt spieszący się ku jakimś, chyba z góry przygotowanym, wnioskom. Oto on:

"Kring młodych" publicystów zgromadzonych wokół "Sztuki i Narodu" w żadnej mierze, pod względem ideowym i umysłowym, nie był reprezentatywny dla całości podziemia. Jednak myśl kulturalny "Sztuki i Narodu" pozwala odkryć zasadnicze rysy obrazu ówczesnego życia umysłowego. Cóż się zatem przydarzyło świadomości kulturalnej podczas okupacji?"

Nie się takiego specjalnego nie przydarzyło - o czym niżej - za to pani Barbara przydarzyła się "lufa" z logiki. Bo zważmy, proszę państwa, to, co w ż a d n ę j m i e r z e nie było reprezentatywne dla całości podziemia tak pod względem umysłowym jak umysłowym /"w żadnej mierze" - to znaczy b e z w a s a d n i c z e, to znaczy, że mowa jest o marginalnym wyjątku. Pozwala - zdaniem Barbary Toruńczyk - odkryć z a s a d n i c z e r y s y obrazu ówczesnego życia umysłowego. Jeszcze raz przepraszam, ale muszę zapytać: na podstawie jakiejże to logiki coś, c o n i e r e p r e z e n t a t y w n e dla całości ówczesnego życia umysłowego, może pomóc odkryć z a s a d n i c z e, a więc reprezentatywne zrazem, rysy owego życia? To tylko w psychiatrii stany wyjątkowe i różne odchylenia, zachodzące przy stanach chorobowych, mogą pomóc do ustalenia p o w s z e c h n y o h prawidłowości życia psychicznego - na zjawiska socjologiczne przetrząść tej metody nie wolno. W badaniu zjawisk społecznych obowiązuje najwyżej logika i - nie ma rady - trzeba się jej trzymać. Jakim więc cudem Barbara Toruńczyk chce mówić o z a s a d n i c z y c h rysach polskiego życia umysłowego lat okupacji w oparciu o analizę o d o s c b n i o n e g o nurtu tegoż

życia umysłowego - tego naprawdę ani w ząb pojąć nie mogę. W Pani zdaniu: "Cóż się zatem przydarzyło świadomości kulturalnej podczas okupacji?" - zdaniu zamykającym akapit - a stwarzającym pozory jakiegoś przejścia logicznego - słowo "zatem" nie ma prawa występować ponieważ nie zachodzi tam żadne wylinkanie między poprzednikiem a następnikiem, albo - zważywszy, że w oparciu o Pani tzw. okresem warunkowym - nie ma

... następstwa.

To nie jest czepialstwo, łapanie za niezręczne słówko - to jest wskazanie na ważny dla całości błąd Autorki. Tym bardziej, że błąd ten został "podparty" innym, dalej występującym, błędem o pozorach słuszności, co sprawia, że całość dla czytelnika nie znającego tych czasów z autopsji może się wydać trafny. Ten drugi błąd to nie o d r ó ż n i a n i e przez Barbarę Toruńczyk dwu zupełnie różnych postulatów sztuki, która chce być zaangażowana: postulatu instrumentalnego jej traktowania w służbie ideologii grupy i jej polityki - oraz postulatu odnoszącego się do jej funkcji, jako nośnika n a j w y ż s z y c h o g ó l n e l u d z k i e c h w a r t o ś c i w t e d y, g d y w a r t o ś c i t e - p o d s t a w a s a m e g o i s t n i e n i a k u l t u r y - s ą z a g r o ż o n e u s a m y c h k o r z e n i. Ten drugi postulat był rzeczywiście wysuwany przez większość publicystów podziemia polskiego, ale n a l i t o ś ć! - toż to zupełnie co innego, niż to, co proponowali i czego od sztuki domagali się publicyści "Sztuki i Narodu" czy ludzie z Konfederacji Narodu. Prawie wszyscy byli wtedy przeciwni hasłu "sztuka dla sztuki" - tak samo demokratyczna większość, jak i totalizm zarażona grupka z Konfederacji Narodu - ale każda strona robiła to z i n n y c h p o b u d e k i d e o w y c h. Jeśli i ci, i ci używali np. słowa "zaangażowanie", "służba" etc. - to i c ó ż z t e g o w y n i k a? Nic. Chyba nie trzeba Barbarze Toruńczyk przypominać, że gdy dwóch mówi to samo, to nie zawsze znaczy to samo. Polskiej świadomości kulturalnej w latach okupacji n i e p r z y d a r z y ł o n o w e g o, n i c z a s k a k u j ą c e g o: b y ł a w i e r n a s w e j s t a r e j t r a d y c j i, o w e j h i e r a r c h i i w a r t o ś c i, k t ó r e j l a p i d a r n y w y r a z i s k r ó t d a ł S ł o w a c k i, m ó w i ą c, że "nie czas żałować róż - gdy płoną lasy". Powtórzmy jeszcze raz trzeba wyraźnie rozgraniczać między s e r w i t u t a m i i d e o l o g i c z n o - p o l i t y c z n y m i sztuki, jakich domagało się grono ludzi ze "Sztuki i Narodu", a tą "cechą" sztuki, która się odnosi do jej funkcji j a k o n o ś n i k a n a j w y ż s z y c h w a r t o ś c i. To pierwsze jest rzeczywistym upokarzaniem sztuki poprzez jej zniewalanie, jest jej zdradą - i na dobre zostało zrealizowane przez okres soc-realizmu - to drugie zaś płynie z przekonania, w tradycji polskiej ugruntowanego, iż sztuka winna być dla ludzi, a nie dla siebie samej, czy dla artysty, wtedy gdy ludzie giną, a wraz z nimi ginie podstawa kultury. Prze-

konanie to doprowadziło niektórych Polaków do wyciągnięcia z niego krańcowych konsekwencji, bo do porzucenia sztuki dla czynu zbrojnego. Okrzyk Chopina w liście do Tytusa Wojciechowskiego: "Czemu nie mogę chociaż bębnić!" - czy to jest tylko wyraz rozpacz człowieka oddalonego od najbliższych uwikłanych w walkę i w jej niebezpieczeństwa? Chyba nie tylko. Pozwólę sobie na nieprzyzwoitość cytowania samego siebie z pewnej noweli, opisującej podobny spór:

"Dobrze bębnić czy na boku tworzyć arcydzieło? Gdyby go pani wtedy o to zapytała, zobaczyłaby pani, jak z pasją wyrzuciłby za okno nuty. Owszem, pozostał doboszem wielkiej polskiej sprawy - i wszędzie, gdzie Polacy schodzili się z nim i z sobą, on ciągle nawoływał, ciągle wzywał, krzyczał, on wciąż nie dawał kapitulować. A czemu się tak stało? Bo tamtym zwykłym doboszem nie został? Zgoda. Ale także dlatego, że tamtym zwykłym doboszem tak bardzo być pragnął. Niech pani pomyśli, czym byłaby ta muzyka, gdyby nie to pęknięcie, gdyby nie ta rozpacz, ten wyrzut piekący, że nie jest przynajmniej doboszem, gdy inni... Sztuka nie mija? Na szczęście! Lecz właśnie przez to, że mijają, ważniejszych jest od niej sto rzeczy nietrwałych".

Jakich? A więc takich jak życie ludzkie, jego spokój i prawo do bezkoszmarnej zwyczajności. Takich, o jakie upomina się Słonimski w wierszu tak niemądrze zaatakowanym przez Gajcego-publicystę. Tak jak Barbara Toruńczyk - ja również zacytuję ów wiersz, bo dla wywodów niniejszych jest ważny.

"/.../ O co my tak walczymy,
Za czym my tak tęsknimy?
Jakież skarby nam wielkie odjęto?
Nie o sławę, bogactwo
Całe nasze tułactwo,
Lecz o sprawę i większą i świętą.
Nie o władzę nad światem,
Ale o to, by latem
Z książką usiąść pod starym jaworem,
Słuchać wiejskich pogwarów
I brzęczących komarów,
Koni rżących na łąkach wieczorem.
Nie - by rządzić innymi,
Lecz by w domu z swoimi

Sprawiedliwym przełamac się chlebem.

Wyjść na drogę i czyste

Witać niebo gwiaździste,

I spokojnie mózdz spać pod tym niebem. /.../"

Nie pojmuję zupełnie Gajcego za jego atak na ten wiersz. Czyżby ten dojrzały artysta, a przede wszystkim dojrzały przed czasem - jak my wtedy wszyscy - człowiek nie dostrzegął, że s p o t e j n a z w y c z a j n o ś ć, której pochwałę głosił wiersz Słonimskiego, urcska nagle - w dobie krematoriów, zsyłek, Katyniów, obozów, n a i c h t l e - do rangi sprawy najważniejszej? Ze to o to - właśnie o to - idzie ta wielka tak ciężka, tylu ofiar i poświęceń wymagająca Walka? Mogę się tylko domyślać, że Gajcego odstraszało domyślne "tylko to", jakie wyczytał w wierszu. Cóż można by na to odpowiedzieć? Chyba tylko to, że on, Gajcy, tyłu innym - raz słusznie, raz niesłusznie - zarzucający pięknoduchostwo, odkrył tu oblicze swoistego pięknoducha. Bo choć wiersz Słonimskiego nie daje podstaw do odczytywania go w ten sposób /ze - tylko to/, w dobie dymiących krematoriów, w dobie tortur, rozstrzeliwań, zsyłek, eksterminacji - owo tylnoko urasta do a ż. Uratować ludziom ich prawo do spokojnej zwyczajności - czyżby to było dla Gajcego zadaniem minimalistyczne? Nie pojmuję. Ale pamiętam dobrze jedno: że to, właśnie o ten program "minimum" ekologiczności Polaków - i Gajcy oraz ideologowie tak zły wpływ na niego wywierający, głoszący, iż zadaniem i celem jest przyszła potężna, bo panująca nad innymi, Polska - nie nadawali, bynajmniej, tonu.

Ale oto rzecz, która mnie znowu dziwi u Barbary Toruńczyk. Minimalizm programu zawartego w wierszu Słonimskiego raził bardzo ideologów Konfederacji Narodu, mnie nie razi wcale, bo jest to minimalizm rzekomy. Dziwi mnie natomiast co innego: że Barbarę Toruńczyk - Która, podobnie jak ja, zgadza się z programem wiersza Słonimskiego i która z pewnością nie uważa go za minimalistyczny - n i e r a z i j a k o ś w c a l e, przy jej maksymalnie estetycznym, w dalszych partiach artykułu mocno zaznaczonym, m i n i m a l i z m a r t y - s t y c z n y tego łatwiutkiego wierszyka, który od biedy - mógł zostać napisany przez każdego zręczniejszego w rzemiośle poetę. Skąd się bierze to zaskakujące "pęknięcie" w poglądach Barbary Toruńczyk? Jakoś tego

przy wierszu Słonimskiego nie zaznacza, choć galej tak skrzętnie notuje cudze postulaty o wyższości spraw etycznych, dyktowanych walką o wolność, nad sprawami estetycznymi, cytując wypowiedzi publicystów z najróżniejszych polskich podziemnych organów prasowych, tych, co - w przeciwieństwie do SiN-u - stanowiły większość i nadały rzeczywisty ton polskiemu życiu umysłowemu tamtych lat. Barbara Toruńczyk wydaje się wyraźnie dostżegać zdumiewające pięknoduchostwo Gajcego, dla którego walka o spokojną zwyczajność narodu, postulowana w wierszu Słonimskiego, jest niegodnym minimalizmem, nie uważa jakos zupełnie - proszę mi darować - własnego pięknoduchostwa zawartego w jej pretensjach sugerowanych tym, co nie chcieli myśleć przede wszystkim o a u t o m i i sztuki w czasie jej zagrożenia u podstaw. Co do mnie, to różnię się zarówno z antypatycznymi ideologami KN, jak i z Barbarą Toruńczyk, bo - jeśli już trzymać się utworu Słonimskiego - ani nie widzę w programie tego wiersza żadnego minimalizmu, ani nie uważam, by słaby wierszyk, niosący słuszny program nie był czasem cenniejszy od przepięknego poematu asemantycznego /margines: nie zgadzam się z Anną Kamińską, że k a ż d a poezja jest semantyczna, ponieważ istnieją i takie utwory, jak. znane "Słopiewnie", złożone z nic nie znaczących wyr azów, i inne, które, chociaż złożone z wyrazów znaczących, operują nie znaczącymi układami zdaniowymi/. Zawsze w podobnych polemikach powołuję się na ten przykład z Białoszczańskim - dziś zrobię to jeszcze raz, bo do porównań jest najwygodniejszy. A więc znakomity "Wizerunek jagodny Tarnowca" - ten zdumiewający, olśniewający kalejdoskop barw i bardzo luźnych skojarzeń, które zaledwie sugerują i to ułamki jakichś znaczeń - wzrusza mnie znacznie b a r d z i e j od wspomnianego wierszyka Słonimskiego, podczas gdy z kolei ów wierszyk - jakkolwiek łatwiutki i m i m o t o , że łatwiutki - wzrusza mnie głębiej. Wspomniane "wzruszenie b a r d z i e j" to oczywiście wzruszenie estetyczne i tylko czysto estetyczne. Natomiast "wzruszenie g ł ę b i e j" to to, które sięga najistotniejszych egzystencjalnych spraw ludzkich. Pamiętam, jak Przyboś w Oborach, widząc Słonimskiego, wychodzącego ze swego pokoju, syknął zjadliwie do swego sąsiada przy stole: "Wierszokłota..." Czy był tak najzupełniej niesprawiedliwy w tej ocenie? Myślę, że nie - i chyba można to spokojnie

powiedzieć dziś, gdy obaj nie żyją, żyją zaś nadal: sprawy, o które jeden walczył ostatecznie z zadziwiająco konsekwencją - i piękno, któremu drugi wytrwale służył z zadziwiająco, jak na dojrzałego człowieka, wyłącznością. Słonimski był z n a c z n i e słabszym artystą słowa od Przybosia - a wszak poezja jest i pozostanie chyba s z t u k ą s ł o w a. Ale: kto się choć chwilę zastanowi nad pięknym wierszykiem Słonimskiego, cały czas tutaj omawianym - zrozumie szybko, że p i ę k n o tego Żatwiutkiego utworu - choć od strony formalnej jest tylko zarabny i wdzięczny - bierze się głównie z o g r o m n o j w a g i s p r a w, o których mówi. To one przydają przedziwnej lotności temu utworowi. Czy przydają mu jej - by tak powiedzieć trochę przesadnie - n a z a w s z e? Oczywiście, że nie. Gdyby Polska mogła sobie "zafundować" tysiąclecie spokojnego, niezawisłego i wolnościowego bytu - historycy literatury musieliby dżukami komentarzami objaśnić ewentualnym czytelnikom utworu Słonimskiego cały kontekst spraw, który "kiedyś, kiedyś, gdy Polska była wciąż zagrożona w swym spokojnym bycie i w bycie w ogóle", sprawia, że utwór Słonimskiego, choć formalnie tak przeciętny, tak g ł ę b o k o poruszał jego ówczesnych czytelników. Prawdopodobnie jednak historycy nie zajmowałiby się tym wierszem Słonimskiego, albo zajmowałiby się nim drugoplanowo, jał dziś my Polakowskim - i chcąc pokazywać najcelniejsze dokonania artystyczne "czasu nocy", omawialiby utwory Baczyńskiego. I chyba słusznie.

Rodowód zaangażowania ideologicznego i politycznego poezji w y w o d z i s i ę z k o m u n i s t y c z n e j R o s j i, a nie z Polski okupacyjnej - i Barbara Toruńczyk nie robi dobrze, gdy z poglądów grupki nie-reprezentatywnej dla polskiego życia umysłowego tych lat, z poglądów grupki skupionej w KN, czyni a r n i t y c y p a c j ę s o c r e a l i z m u, rzekomo wyhodowaną przez ogół Polaków. Postulat zaangażowania ideologiczno-politycznego sztuki został do Polski przede wszystkim importowany - że zaś wielka grupka z KN-u miała akurat poglądy podobne do moskiewskich, to nie świadczy to o niczym z wyjątkiem jednego, o czym wie każdy: że na ekstremach często dochodzi do zbliżeń.

I wreszcie. Zaangażowanie poety w obronę najwyższych wartości nie musi wcale prowadzić do zacieśnienia jego horyzontów artystycznych - to raczej kwestia talentu /do-

wodem choćby twórczość Baczyńskiego, a także Gajcego, gdy przemawia nie z pozycji publicysty zaangażowanego politycznie/, jeśli zaś czasem prowadziło do pewnych świadomych samoograniczeń estetycznych, nakładanych przez poetę samemu sobie - zresztą, tylko przez niektórych - to samoograniczenia te nie płynęły wtedy /to trzeba podkreślić/ z założen, z prekoncepcji dyktowanych ideologiami, lecz były szukaniem łatwiejszej formy, bo właśnie ona potrafiła zapewnić szerszy odbiór utworom, które miały nie tyle ambicji, co pragnienie docierania do tych ludzi, od których zależały wtedy losy świata, a z nim losy kultury: do żołnierzy - tych z bronią i tych bez broni. Pretensja Barbary Toruńczyk, zawarta w jej zdaniu: "Zerwanie więzów z teraźniejszością, a więc zlekceważono konkretny trud tworzenia i kumulowania kultury" - jest podwójnie zdumiewająca. Bo o kumulowaniu kultury dość trudno jest myśleć /robiono, zresztą, i to/, gdy trzeba ratować same podstawy jej istnienia - myślenie zaś przede wszystkim o ratowaniu tych podstaw i nastawienie na owc ratowanie nie jest chyba "zrywaniem więzów z teraźniejszością", lecz właśnie odwrotnie: dowodem istnienia najściślejszych - bo do korzeni sięgających - z nią związków. Ze zaś nastawienie nie na samo kumulowanie kultury wydało akurat najwspanialszy owoc skumulowanej kultury tego okresu - poezję Baczyńskiego - żaden to dla mnie paradoks. Raczej - prawidłowość. I to mimo, iż byłbym ostatnim, który by chciał sztuce odbierać jej autonomię, czy proponować utylitarne do niej podejście. Z własnych moich zdań cytowanych wyżej: "Sztuka nie mija? Na szczęście! Lecz właśnie przez to, że mijają, ważniejszych jest od niej sto rzeczy nietrwałych" - wynika nie tylko przekonanie o wyższości nietrwałych spraw życia, ale równocześnie przeświadczenie o wielkiej randze ponadczasowej sztuki, która na szczęście - trwa.

W polemice z Barbarą Toruńczyk chodziło głównie o tzw. prawdę sprawiodliwych proporcji. Podobnie będzie i w polemice z nieco starszymi publikacjami - chociaż nie tylko, bo będzie tu także o tzw. prawdę szczerosci w jej relacji do poczucia odpowiedzialności, w obu bowiem kwestiach bodaj najłatwiej bywa nieporozumień i po-

127
gmatwana, tym bardziej, że obie prawdy potrafią wcho-
dzić ze sobą w przedziwne konflikty.

Zapewne: to bardzo źle, gdy pisarze polscy hołdują w
sobie negatywnego "wewnętrznego cenzora" i z góry - tak
jak niektórzy nazbyt ostrożni redaktorzy wydawnictw -
uprzedzają życzenia cenzury rewolucyjnej już przy swych
biurach, wiedząc, że to i tamto "na pewno nie przejdzie".
Że tego i tamtego nie warto pisać, bo "wyleci", i rezy-
gnując z góry z przemycania choćby ułomków prawdy z og-
romnego obszaru milczenia, jaki nam narzucono od lat -
ale myślę, że pozytywny "cenzor wewnętrzny", jakim jest
poczucie odpowiedzialności, słusznie mówi, gdy każe nam
schować na lepsze czasy do szuflady utwór, który, choć
ukazuje nie składowany w murze z ym, n a j-
p r a w d z i w s z y fragment jakiegoś obrazu przeszło-
ści, odegrałby - gdyby został opublikowany przy istnie-
niu cenzury rewolucyjnej, czuwającej, by dany obraz nie
posiadał czasem uzupełnień niepożądanych na Mysiej -
rolę fałszującą, a fałszującą tylko dzięki temu, że zach-
wiane byłyby przezeń sprawiedliwe proporcje rzeczywiste-
go układu cieni i światła obrazu. To dlatego uważam, że
Jan Józef Szczepański, którego szanuję i cenię, publi-
kując swoje osławione BUTY popełnił rzecz karygodną, po-
nieważ robił to w czasie, gdy stalinowskie więzienia
przepełnione były najofiarniejszymi, najbardziej ideowy-
mi ludźmi z AK - i ponieważ publikował to w kraju, gdzie
aparatus propagandowy oczerniał, opluwał i niszczył krajową, jej
szarych bohaterów i jej Komendę Główną. Znam przypadek
chyba gorszy od tego opisanego przez J. J. Szczepańskiego,
ale go nie opiszę i nie opublikuję - chyba dopiero wtedy,
gdy nic już nie zdoła zachwiać w świadomości społecznej
sprawiedliwych proporcji, o których wyżej. Przypadek -
który podobnie jak ten z "Butów" Szczepańskiego - jest o-
hydny sam w sobie, ale bynajmniej nie rzuca na ja-
mniejsze go cienia na przytła-
czającą większą część żołnierzy Ar-
mii Krajowej, a nie rzuca go dlatego, że ma się
- jak i przypadek z "Butów" - do ideowej, bohaterkiej i
humanitarnej reszty ludzi z AK jak 1 do 100.000, a może i
jeszcze mniej. Czy warto opisywać tak odosobniony przypa-
dek? Identyczne pytanie padło po ukazaniu się "Dzieńców
Grzechu" Żeromskiego. Pytanie zupełnie niemięde. Do, o-
czywiście, że warto. I to bardzo warto. Bowiem z punktu
widzenia sztuki o d o s o b n i o n e p r z y p a d -

ki są najciekawsze, są "fotograficzne". Różnica jedynie w tym /ale to nie dotyczy "Dziejów grzechów"/, że sztuka - choć bezwzględnie musi być autonomiczna - nie jest w świetle spraw ludzkich wartością, a j.w.ż - szą, taką, której może nie obchodzić kontekst sytuacji. Różnica w tym, że nie w każdym czasie można publikować wszystko, co najszczerzej i najuczciwiej napiszemy. Gdy dochodzi do konfliktu między szczerością sztuki a prawdą sprawiedliwych proporcji i historii, to pierwsza musi czasowo milczeć w tych krajach, gdzie sprawiedliwych proporcji ukazywać nie wolno /bo są rozmyślnie fałszowane/ i w tych kontekstach sytuacji polityczno-policyjnej, gdzie publikacja opisu odczłowieczonego ohydneho przypadku może być odczuta jako policzek przez tych, których torturują i rozstrzelują za to, że należeli do ogromnej rzeszy bohaterów. Wyjaśnienia J.J. Szczepańskiego, złożone w trakcie jego prelekcji w PEN-clubie że utworem swym chciał wskazać na "zarażenie się totalizmem", od którego to zarażenia się byliśmy - jakoby - nie wolni, niczego nie wyjaśnia, jako że opisywany przezeń przypadek zarażenia, choć niewątpliwy, był właśnie w y j ą t k i e m. Ogromna, ogromna reszta zarazie nie uległa - po co więc ta przesada? Będę to zawsze powtarzał, mimo, iż - jak mówiłem - znam chydniejszy przypadek od tego, który znał i opisał Szczepański. Nie chodzi wcale o to, by ze wszystkich co do jednego żołnierzy AK robić samych aniołów niebiańskich. Ale chodzi o to, by z bardzo, bardzo odczłowieczonego przypadku nie rzucać cienia na resztę niewątpliwych bohaterów. Infantylnie spojrzanie nie ogarniającego całości dziecka zostawmy Białoszewskiemu. Napisał znakomitą relację powstańczą z perspektywy człowieka piwnicy i w specyficznej optyce wystylizowanej "nikiforszczyzny" /określenie Wyki/. Pierwszy najlepiej oddał gehennę cierpień ludności cywilnej z późniejszych tygodni walczącej Warszawy /ogłosiłem w "Tygodniku Powszechnym" entuzjastyczną recenzję z tej książki - pierwszy w prasie krajowej/, ale gdyby nie było świadków historii, gdyby "na planie" pozostał tylko "Pamiętnik" Białoszewskiego i gdyby ktoś chciał zaufać w przyszłości opinii pana Wilhelmięgo ze "Wstępu", iż "Pamiętnik" oddaje w i e r n i e nastrój walczącej

stolicy - ten by miał właśnie nie w i e r n y obraz tych nastrojów o tyle, że z pierwszego, wręcz entuzjastycznego tygodnia powstającej Warszawy, kiedy to jeszcze /wrimo pierwszych ofiar/ nie było przesad, a Warszawa zdawała się bez przesady ułajwad na skrzydłach radoznego uniesienia, nie znalazłby u Białobrzewskiego k o m p l e t n i e n i c /poza tym, skądinąd sympatycznym, ale infantylnym, ckrzykiem dziewożyny, która patrząc z autorem przez okno na pierwszego powstańca, zawołała spontanicznie: "A wiesz, Mironku, ja bym się mu oddała!"/.

I druga sprawa. Stanisław Stomma, którego szanuję, szczególnie po jego "konstytucyjnej opozycji", nie powinien być, moim nieskromnym zdaniem, publikować w studium Powstania Styczeńowego swego artykułu roznicowego na łamach "Tygodnika Powszechnego". Sam sobie winien poradzić schować go do szuflady - na inne czasy - bo pisanie o takich sprawach. "Kompleksie antyrosyjskim" w Polsce dzisiaj brzmi wręcz groteskowo nieedpowiedzialnie. Cała treść artykułu był kontrowersyjny i nie tak trudno do zakwestionowania były różne jego tezy. Napisałem w roku 1963 polemikę z artykułem Stommy, usiłując dowieść, że to nie żaden "kompleks", lecz inne rzeczy zmuszały do podjęcia decyzji powstania - Turcwiacz jednak odmówił druku. Miał prawo nie zgadzać się ze mną, a zgadzać się ze Stomną, ale myśleć, że obaj nie mieli prawa do abstrahowania o d o b e c n e g o k o n t e k s t u s y t u a c j i p o l s k i e j. /Artykuł Stomny był przyjęty przez wielu czytelników z prawdziwym zdumieniem. Pytano: "Czy autor mieszka na księżycu?"/. Czy Stomma był s z c z e r y w swych, publikowanych wtedy, poglądach? Z pewnością. Albo - najprawdopodobniej. Ale co komu z tej szczereści skoro skoro każdy wie, że nie mówi się o s t r y c z k u w r o d z i n i e w i s i e l c a. Kardynał Hlond nie zaproponował katolikom polskim przebaczenia swym ciemiężcom w czasie trwania okupacji, a kardynał Wyszyński nie zaproponował przebaczenia ani w pięć lat po okupacji, ani nawet w dziesięć, lecz grubo później. Szkoda, że Stomma nie pomyślał o tym, że nie pojął, iż o "kompleksie antyrosyjskim" pisać dziś nie można přímo dlatego, że właśnie "jeszcze nie czas", secundo dlatego, że obecny nasz "kompleks" nie jest, niestety, wydumany, lecz ma swe smutne podstawy, a teorię dla

tego, że artykuł piszący na podobny temat nie będzie mógł mieć polemiki, ponieważ cenzura postara się już o to, by żadna polemika nie mogła ukazać.

Po co wracam do tak odległych publikacji, jak artykuł Stompy z roku 1963 oraz "Baty" J. J. Szczepańskiego wydrukowane w "TI" jeszcze wcześniej? Bo konflikty między szczerością a kontokwestami sytuacyjnymi są wciąż aktualne, te zaś dwie publikacje stanowią jedynie wygodną - bo bardzo jaskrawą - ich ilustrację.

Jerzy Narbutt

BŁĘDY W REMANENCIE

czyli polemika z polemiką

Zgadzam się z Jerzym Narbuttem, kiedy za jedną z szans, jakich wycza nam "Zapisk", uwaga możliwość szczerzej dyskusji pomiędzy sprzyjającymi sobie wzajemnie ludźmi na wszelkie, choćby i drażliwe tematy.

Skorzystam i ja z tej szansy, ponieważ poza tym nie zgadzam się z "Remanentem polemiki" prawie w żadnym punkcie, z samym zaś Narbuttem kłaczę nie zbyt wiele, że bym chciał i miał prawo przejść do porządku dziennego nad tym, co nas różni.

Zresztą nie tylko dlatego: sądzę, że przynajmniej część wyłożonych przez siebie poglądów dzieli autor z całym odłamem naszej "milczącej większości", pełnym i wbrew jego woli, przywiązaniem wszakże - podobnie jak on - do sposobu myślenia, którego nie mogę przyjąć.

Nie tylko z Narbuttem podejmuję przeto niniejszą - bardzo szkicową i fragmentaryczną polemikę.

1

Problem z dziedziny estetyki stosowanej: czy może istnieć wiersz piękny, mądry i wzruszający w swojej warstwie treściowej, a zarazem grzeszący "minimalizmem artystycznym" i dający się określić jako "łatwiutki wierszyk, który od biedy mógł zostać napisany przez każdego zręczniejszego w rzemiośle poety?"

Powątpiewam w to w ogóle - i w szczególności za nie trafną uważam taką charakterystykę wojennego wiersza Słonimskiego pt. "Wszystko".

Antologia poezji patriotycznej bywają wielkimi cmentarzyskami "łatwiutkich wierszyków", przez najzwyklejsze intencje podszeptane swego czasu takim sobie poetom, banalna, rzemieślnicza forma tych utworów nigdy nie kryje wyróżniającej się treści, a twórcy tak a treść nie może w takiej formie zasnąć zakomunikowana bez zasadniczego uszczerbku dla siebie.

Z podobną twórczością nie ma nic wspólnego "Wszystko" Słonimskiego: wiersz, zawierający nie, jak ujmuje to Nar-

butt, "skuszny program", lecz rewelację psychologiczno-społeczną, o d k r ý c i e ; niezwykle proste i wielkie w swojej prostocie, zaskakujące i nie do odparcia, naiwne jak piosenka i mądre jak przypowieść, w krótkim błysku poetyckiego olśnienia skupiające doświadczenie wieków - że w walce ludów z ciemnością, teraz i zawsze, chodzi /a to znów ładnie sformułował Narbutt/ "t y l k o i a ż" o parę elementarnych potrzeb i tęsknot, wypełniających egzystencję człowieka, o prawo do ich spełnienia, nic więcej... I to odkrycie jest jednocześnie przeżyciem lirycznym, zapłonem szczególnego wzruszenia, najpierw samego odkrywcy, w ślad za nim zaś - każdego, który jest zdolny to pojąć i przeżyć, i jest też strukturą poetyką, której można zarzucić i tradycjonalizm, i nawet pewną stylizację /jeżeli to zarzuty - i tradycyjna poetyka bowiem, i stylizacja może służyć określonej zamiarowi artystycznemu, a czy tutaj właśnie nie służy lepiej, niż służyłaby forma bardziej "awangardowa", to rzecz do dyskusji/, ale nie można zarzucić zbędności, niecelowości, fałszywego brzmienia, wadliwego umiejscowienia. Chociażby jednego słowa, ten wiersz cały oddycha tym, o czym mówi - słycać dźwięki, które wspomina, widać obrazy, które przywołuje, jego niebo gwiazdziste naprawdę rozpościera się nad nami, jego chleb puchnie świeżym chlebem, jego skromna forma jest doskonałym nośnikiem całej treści, prostej, ale nie ubogiej i bynajmniej, jak się okazuje, nie "łatwej"... I nie może być inaczej, nie może być owego "wzruszenia! głębiej", które odczuł w obcowaniu z tym wierszem Narbutt, bez estetycznej pełni znaczącego utworu, i dziwię się, że Narbutt, zwiedziony piosenkową prostotą tekstu, uwierzył w estetyczną niepełnowartościowość swego wzruszenia.

Dziwię się też, że przyznaje jakąś rację "sykowi" starego adwersarza "wierszoklety", w okresie owego "syku" w Oborach za "nowatorskimi" dogmatami nie stała już żadna żywa i poruszająca praktyka poetycka, i nawet nowej fali dwudziestowiecznych poetów /bynajmniej nie paserów/ bliższy był z różnych względów Słoniński niż jego zacięty przeciwnik.

Najbardziej jednak zdumiewa mnie, że Broniąc Słonińskiego przed Gajcem, Narbutt głuchotę tego ostatniego na walory dyskutowanego wiersza przypisuje jakiemś "pięknoduchostwu". Z artykułu Gajcego wynika przecież

wyraźnic, że nie chodziło mu o prawdziwe czy rzekome braki artystyczne utworu, lecz o to, że cała humanistyczna wizja Słonimskiego - jak przekonująco udowodniła Barbara Toruńczyk - rozrzucała się z nacjonalistyczno-totalitarną wizją Gajcego-publicyisty. A w końcu chodziło także o to, żeby raz jeszcze rzucić w twarz Słonimskiemu - jak Tuwimowi i leżącemu już w grobie Leśmianowi - tyle razy wypominaną "obecność".

2

Również wizja Krzysztofa Kamila Baczyńskiego rozrzucała się ze "Sztuką i Narodem" - więc również i do niego strzelano z grubej rury "narodowej" ideologii.

Tak potraktowano też niezależny od SiNowskich schematów debiut Tadeusza Borowskiego.

Po latach Barbara Toruńczyk studiuje materiały i bada sens owych krytyk - a Narbutta to razi, ponieważ uważa, że wysoki niereprezentatywnej grupy lepiej zapamiętać, a wyciąganie ich niepotrzebnie rzuca cień na większe zbiorowości, których dobrego imienia należy szczerze nieustannie: patriotyczne podziemie w latach okupacji, ogół społeczeństwa, naród polski.

Właściwa badaczce błąd logiczny: z jednej strony nowa grupa "w żadnej mierze... nie reprezentatywnej dla społeczności podziemia", z drugiej - s tym, że jej "myśl kulturalna... pozwala odkryć zasadnicze rysy ówczesnego obrazu życia umysłowego". Jak to możliwe?

Zgadza się przecież, że są dziedziny życia, w których obserwacja odchyłeń, wyolbrzymień i patologii dostarcza też wiedzy o normie, powszechności, prawidłowości.

Tak ma być na przykład w psychologii z psychiatrią, ale nie /dlaczego właściwie?/ w życiu społecznym, w polityce, w życiu formułowanych i wcielanych w praktykę idei.

Tu - ma się liczyć wyłącznie reprezentatywność ilościowa.

Ale skoro tak - dlaczego w ogóle zajmujemy się poetami? - są tak niereprezentatywni w społeczeństwach, statystycznie po prostu nie istnieją, nawet gdy d-żywa-ia egipskiego wieku, a tym bardziej gdy giną młodo!

Również ideologowie są niereprezentatywni wśród ogółu narodu.

Członkowie podziemnych stronnictw, ekstremiści, poświęcający się bojownicy, ludzie symbolicznego gestu, z którego nie wiadomo jaka wyrośnie przyszłość.

A jednak pamiętamy o nich, przypisujemy wagę /i słuszenie/ złożeniu wieńca pod pomnikiem astronoma przez trzech samotnych młodzieńców podczas okupacji, umieszczamy w antologiach wiersze, które wtedy mało kto czytał, i piosenki, których prawdziwa popularność zaczęła się grubo później.

W życiu społecznym bowiem, w kulturze, w historii narodowej - również liczy się nie tylko statystyczna norma, lecz - obok niej - wyjątek, odosobniony gest, myśl dyskutowana w niewielkim gronie, tekst dostępny na razie niewielu.

Dotyczy to zarówno zjawisk, które po latach podziwiamy, jak tych, nad którymi ubolewamy.

Ale czy to, o co chodzi, było rzeczywiście tak bardzo marginesowe?

Ideologia nacjonalistyczno-totalitarna, w różnych /ale w gruncie rzeczy nie bardzo różnych/ odmianach, w ostatnich latach przed wojną zyskała popularność w rozmaitych warstwach narodu, w rozmaitych środowiskach, między innymi na wyższych uczelniach i w szkołach średnich. Czyż mało mówiący jest fakt, że wielu utalentowanych młodych poetów, wstępujących w życie podczas okupacji, nie mogło znaleźć dla siebie innego obszaru samookreślenia ideowego, poza tym, który wytyczała myśl post-ONR-owska? Tkwił w nim w b r o w /jak słusznie wskazuje Narbutt/ istocie doświadczenia tej wojny, a także wbrew własnym impulsom twórczym, niekiedy w ewidentnym skłóceniu z tym, co tworzyli jako poeci. Ale z kolei - skoro ci właśnie ludzie, tak skądinąd ważni dla nas, tak wybitni i bohaterscy, tak opłakiwani do dzisiaj, jako ideolodzy tkwił w zaczarowanym kręgu takich, a nie innych, wyobrażeń i postulatów - czyż wszystko to może nam być obojętne, czyż możemy skwitować pomyłkę Gajcego i Trzebińskiego pobłażliwym stwierdzeniem, że nie była ona reprezentatywna dla całości podziemia?

Nie sądzę, żebyśmy mogli sobie na to pozwolić, i cenię podjętą przez Barbarę Toruńczyk spokojną próbę przeczytania kompletu "Sztuki i Narodu" w kontekście innych publikacji tamtego czasu. Wydaje mi się, że autorka nie sugeruje przy tym tożsamości myśli kulturalnej wymienionego czasopiśma i innych czasopism konspiracyjnych - wykazuje

jednak ich sąsiedowanie ze sobą, współistnienie w rzeczywistości umysłowej, w której nie mogły nie oddziaływać na nie częściowo te same wpływy, mentalności, tradycje, ekstremistyczne więc /SiNu/ bądź umiarkowane /inne pisma/ dawanie wyrazu pewnym podobnym przeświadczeniom, niejednakowo zresztą motywowanym. I w tym sensie mówi ona - i ma prawo mówić - o tym, "co się przydarzyło świadomości kulturalnej" podczas okupacji".

Jerzego Narbutta razi też ironiczną konkluzja Barbary Toruńczyk, że stosunek do sztuki publicystów SiNu /zasadnicza rozkładalność dzieła na "treść" i "formę", podporządkowanie sztuki zadaniem przekazu określonych treści ideologicznych i przekształcenie jej w narzędzie propagandy/ znalazł w końcu urzeczywistnienie w powojennym socrealizmie. /"Ostateczny kształt - pisze autarka "Poezji i wojny" - nadali temu programowi teoretycy i praktycy kultury lat pięćdziesiątych." W innym zaś miejscu o Borowskim, który podczas okupacji potępiał przyjaciół ze "Sztuki i Narodu" i był potępiany przez nich: "W parę lat później zawierzył siebie innej ideologii. Oparł na niej nie tylko swoją publicystykę literacką i społeczną, domagając się... zaangażowania sztuki w najszlachetniejszy ze światopoglądów. Oddał ideologii swój talent. Paradoksalnym zbiegiem okoliczności to on, a nie poeci "Sztuki i Narodu",... przeszedł do końca wskazaną przez nich drogę"."/

"Rodowód zaangażowania ideologicznego i politycznego poezji wywodzi się z k o m u n i s t y c z n e j R o s j i, a nie z Polski okupowanej - obrusza się na to Narbutt - i Barbara Toruńczyk nie robi dobrze, gdy z poglądów grupki niereprezentatywnej dla polskiego życia umysłowego tych lat... czyni a n t y - t y p a c j ę s o c r e a l i z m u, rzekomo wyhedowaną przez ogół Polaków. Postulat zaangażowania ideologiczno-politycznego sztuki został do Polski przede wszystkim i m p o r t o w a n y..."

To ostatnie bardzo słuszne, tylko że w paradoksalnych, jak je sama określa, obserwacjach Toruńczykówny nie znalazłem ani słowa na temat "ogółu Polaków", ani nawet sugestii, jakoby socrealizm b e z p o ś r e d n i o czerpał swoje pomysły ze wzorów SiNu. Mowa jedynie o tym, że idee jednego totalizmu /który nigdy nie miał zapanować w tym kraju/ okazały się zdumiewająco podobne do... w tym zakresie innego totalizmu, który parę lat

później objął tu władzę. W tym też od dramacie i zakłaniu pisarza, który oparł się półtorętego pierwszego totalizmu /choć w barwach jego wyświepowali koledzy i przyjaciele/, żeby ulec czarom drugiego - także w tym co obydwu im było wspólne. Wprowadzając zaś do nasyci rozważań, za Narbuttem, element ideologii importowanej, dopowiedzmy wreszcie, że mowa o takich ideach totalizmu z importu, które natrafiały w Polsce na ślad /iżże nikły, ale rzeczywisty/ po pokrownych sobie ideach totalizmu rdzennego - i, być może, ułatwiło im to kiełkowanie i rozkwit.

Nawiąsem mówiąc, zło importowane nie jest problemem intelektualnym ani moralnym. Jest nim to, które kryje się w zakamarkach naszego domu, należy do naszej tradycji, wychowania, stereotypu, gotowości, skąpości. To które zawsze może zostać przywołane na pomoc, podporządkowane srocie i ubrane w aktualny mundur przez potężniejsze zło przybyłe z zewnątrz. Dotyczy to nie tylko socrealizmu.

Co zaś do świadomości społeczeństwa SiMS, to socrealizm warszawski narodził się do niej na ogół, nieswiadomie /ale czasem też świadomie - vide zaangażowana publicystyka Bratnego w owych latach/. Dopiero w latach 1968-1969 niektóre pisma w Polsce zaczęły przedrukowywać artykuły ze "Sztuki i Narodu" z nieukrywaną intencją powołania się na ich aktualność...

4

Nawiązując do kolejnej sprawy, o którą będę się spierał z Narbuttem, odpędzę pokusę wytknięcia mu, że z okazji ataku na Jana Józefa Szczepańskiego uruchamia mechanizm, wypisz-wymażuj, made in USSR. Wcale tak być wien nie uważam, mimo że analogia zdaje się uderzająca.

Kilka lat temu tłumaczyłem opowieść partyzancką pisarza białoruskiego Wasyla Bykowa pt. "Kruhlański most". Była tam m.in. mowa o tym, jak dla skutecniejszego osiągnięcia pewnego celu wojskowego partyzanci poświęcają życie dziecka - ufego chłopca, który dopiero co przystał był do nich, decyzja ta zaś przechodzi im tyż łatwiej, że chłopiec jest synem kolaboranta, a więc i defaultnie kimś gorszym od nich, niż ogólnym trocki, który tym samym do spisania na straty w ogólnym rachunku toczonych zmagani.

Ani przez chwilę nie przechodziło mi na myśl, że tę świetną, jak uważałem /i nadal uważam/, książkę można

odebrać jako zmierzającą do skompromitowania i ucięcia partyzanckiego na Białorusi w latach minionej wojny. Wydawało mi się raczej oczywiste, że chodzi w niej o pokazanie, jak tragicznemu wykoślawieniu ulec mogły charaktery, postawy moralne, kryteria postępowania w warunkach nieludzkiej próby, jakiej zostały tam wtedy poddane, że chodzi - jeżeli przekładać nie tylko z białoruskiego na polski, lecz również, co bardziej ryzykowne, z języka obrazów literackich i zawartych w dziele penetracji psychologicznych na język aktualizacji etycznej i społecznej - o sprzeciw wobec wszelkiej nieludzkości, wszelkiej znieczulicy, wszelkiego fałszywego rachunku, w którym autentyczne kryteria moralne zostają zlekceważone ze względu na jakiś cel pragmatyczny.

Ale nie powiem, żebym się specjalnie zdziwił, kiedy zaczęły do mnie docierać "listy indywidualne i zbiorowe, publikowane np. w piśmie "Ogoniok", pełne takich zdań: "...po co autcrowsi potrzebne było takie zniekształcenie i cśmieszanie świętej sprawy - o fiarnej walki narodu radzieckiego przeciw niemieckofaszystowskiemu najeźdźcom? ... /obatorowie Bykowa/ to typowe wyrodky, przedstawiające skrajnie szkodliwe zjawisko w partyzanckich szeregach... Taki obraz, według autora, typowy jest dla ruchu partyzanckiego Białorusi, a zgodnie z prawami artystycznego uogólnienia także dla całego ruchu partyzanckiego... Wszystko to wydaje nam się w najwyższym stopniu uwłaczające nie tylko dla narodu białoruskiego, lecz i dla wszystkich ludzi radzieckich... Czy Wasyl Dykow rozumie, co czytni i do czego zmierza? na czyj młyn leje wodę?" itp. itd. Nie zdziwiłem się, powtarzam, bo zaprezentowany w tych wypowiedziach mechanizm "krytyki literackiej" znam już od dawna.

Ale właśnie dlatego, że kogo jak kogo, a Jerzego Narbutta nie posądzę o przenoszenie na nasz grunt socrealistycznych metod analizy tekstu literackiego, zaskoczony jestem, czytając w związku z "Butami" Szczepańskiego - jednym z najznakomitszych i najbardziej odważnych z y c h fragmentów prozy polskiej ostatnich dziesięcioleci - takie propozycje ustosunkowania się do utworu: "opisany przezeń przypadek mazażenia /totalizmu/, choć niewątpliwy, był właśnie wyjątkiem... chodzi o to, by z bardzo, bardzo osobistego przypadku nie rzucać cienia na r o c...

się nie ewentualnie w tych warunkach, bo hańbą i obrazą
publikacja opisu odosobnionego chydnego przypadku mo-
że być czytana jako policzek przez tych, których
torturują i rozstrzelują za to, że należeli do og-
romnej i "przeszy bohaterów" itp. itd.

Pamiętam fakt, że nikt z nas nie wie i nie może
wiedzieć i nigdy się nie dowie, jeżeli z góry uz-
namy pewien typ zjawisk za tabu - jak dalece /i pod
jakimi względami/ wyjątkowy był przypadek, na którym
Siczepański oparł fabułę swoich "Dutów" /wymordowanie
przez oddział partyzancki grupy "Kajmuków", którzy po
skutku u Niemców przeszli na jego stronę/. Narbutt
wymaga, że miało się to być idealną, bohaterską i
humanitarną resztą ludzi z AK jak 1 do 100 000, a
może i "jeszcze więcej". Nie wiem, na czym oparte są
takie szacunki, osobliście cieżkie, że w takiej partyza-
ntce, niezależnie od narodowości i sztafetu, nie
wyglądało to tak różowo, i że zwłaszcza w warunkach,
jak przedstawione w opowiadaniu Siczepańskiego /kom-
plikowana sytuacja bojowa, oczekiwanie na pomoc, niedo-
stęp do oddziału, brak broni, brak żywności i wody, a
wreszcie - trudność zaufania obcym, "dzikim" ludziom
którzy wczoraj jeszcze walczyli po przeciwnej stron-
ie i dopuszczali się, być może, okrutnych zbrodni/,
że w takich warunkach humanitaryzmu nie był akurat
kultywowaną cnotą.

Ale nie o to nawet chodzi, tylko o to, że nie
jest rzeczą literatury pięk-
nej "odmierzanie proporcji" i
oddawanie statystycznej
sprawiedliwości Armii Krajowej czy
którejkolwiek innej armii, narodowi polskiemu czy
któremukolwiek bądź narodowi, oficerom, szeregowym
czy też cywilom, cechowi rzemieślniczym, związkowi zarząd-
czemu czy pokoloni, jeśli zaś - niech mi Jerzy Narbutt
wybaczy truizm - poszukiwanie prawdy o człowieku, tym
sam na sam ze sobą i tym pośród innych ludzi, trosze-
nie i odszanianie tego, czego bez literatury człowiek
nie wie o sobie, czasem woli nie wiedzieć albo nie o-
śmiela się wiedzieć, przoczując to, czego sam nie
potrafi przeczuć ani nie przeczuwa żądna ze służą-
cych mu nauk - także możliwości zła, możliwości za-
grożeń tkwiących w nim i w sytuacjach międzyludzkich,
w jakie mimowiednie wchodzi, w sytuacjach społecznych.

To jest rzeczą literatury - i sprzeniewierzy się swemu powołaniu pisarz, który zrezygnuje z posiadanej czy przeczuwanej wiedzy o człowieku, wyrzeknie się trapiącego problemu, stłumi w sobie gorycz i ból doświadczenia - w obawie, że może to być niezgodne z jakąś wymyśloną "typowością" czy "sprawiedliwymi proporcjami". Chwała Bogu, że nie uczynił tego Jan Józef Szczepański pisząc "Buty" - rzecz o nieludzkości /bo raczej o zarażeniu nieludzkością niż abstrakcyjnym totalizmem mówiliśmy tutaj/ w sytuacji nieludzkiej i tragicznie zawikłanej, ani Maria Dąbrowska, Kiedy we fragmencie "Przygód człowieka myślącego" pokazała brutalność i lekkomyślne okrucieństwo powstańców warszawskich, ale dostrzegając straszliwe zachłyśnięcie się władzą, nienawiścią, sadyzmem w grupie powołanej do funkcji ochronnych i represyjnych, ani Miron Białoszewski, pozwalający sobie w "Pamiętniku z Powstania Warszawskiego" na odwagę nie b o h a t e r s t w a, na cywilność, brak patosu, przyziemność... Nota bene, wbrew temu, co zdaje się sugerować Narbutt, n i g d y ż a d n e z d z i e ł w y k a m u j ą c y c h się z Heroiczno-patriotycznej konwencji pisania o minicnej wojnie - w żadnym zaś razie opowiadanie Jana Józefa Szczepańskiego - nie zostało wykorzystane w swoich celach przez propagandę antykomunistyczną w Polsce; nigdy nie powołała się ona /i w gruncie rzeczy nie powołała się/ na "Buty"; nie o to oskarżyła, nie z tych nozycji, nie w języku tych rozterek i problemów moralnych; płaszczyzny rozrachunku humanistycznego "Butów" i porachunków politycznych wydziału propagandy nigdy nie mogły się przeciąć, a tym bardziej zespolić; powiem więcej - "Buty" ze swoją rozpaczą i buntem, ze swoją tęsknotą za czystymi rękami żołnierzy, ze zrozumieniem przyczyn pewnych potworności, ale z odmową zgody na nie, z odmową rozgrzeszenia, z wiecznym cierniem w duszy, nie tylko nigdy nie były sojusznikiem owej moralnej propagandy, ale zawsze były groźnym jej przeciwnikiem, i ona sama o tym wiedziała.

Nie znam artykułu Stommy z 1963 roku, ale jeżeli chodziło w nim o to, co odczytał Narbutt - zgadzam się z Narbuttem: Powstanie Styczniowe nie zasługuje

na potępienie, a pisanie o kompleksie antyrosyjskim Polaków w prasie ocenzurowanej, gdzie nie można z całą szczerością rozważyć przyczyn ani skutków trwania tego kompleksu, jest nie do przyjęcia.

Niemniej, ten kompleks istnieje - jak analogiczny kompleks antyniemiecki i parę innych.

Istnieje jako pewna rzeczywistość - i jako problem do podjęcia dla pisarzy i publicystów polskich - jednakże nie na łamach prasy ocenzurowanej.

Do zalet "Zapisu" powinna więc może należeć i ta, że znajdzie się w nim miejsce dla zastanowienia nad sprawami Polaków i Rosjan, Polaków i Niemców, Polaków i Ukraińców - niczże i one wreszcie nie będą tabu...

Wiktor Woroszyński

